

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 6 PAŹDZIERNIKA 1928 ROKU

NR 41

TREŚĆ NUMERU: I tu potrzeba poczucia solidarności — *Herminja Naglerowa*. Pisklęta — *M. H. Szpyrkówna*. Jaką powinna być żona pisarza — *Jessie Conrad-Korzeniowska*. Poezje: „Mgła na morzu“, „Zachód nad morzem“ — *Anna Słonczyńska*. Niepotrzebne wzruszenie (nowela) — *Herminja Naglerowa*. Baby (dok.) — *A. Fag*. Marja Szczytt-Lednicka — *Dr. M. Kasterska*. Dusza kobiety (c. d.) — *Gina Lombroso*. Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i H. S.* Współpraca kobiet w budownictwie mieszkalnym — *J. K.* Poznań w obliczu Powszechnej Wystawy Krajowej — *W. D.* Estetyka wystawy sklepowej (dok.) — *Helena Wolska*. Z powodu Wystawy Regionalnej w Wilnie — *Pani Elżbieta*. Uządzenie trzech pokoi — w jednym — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: *Kapelusze — Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy“ — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

I TU POTRZEBA POCZUCIA SOLIDARNOŚCI!

Pisząc dziś o kwestji kobiecej, unikamy bojowości, wypieramy się t. zw. feminizmu, jako określenia przestarzałego, należącego już do epoki przedwojennej. Ambicją naszą jest bezstronność i — wszechstronność w ujmowaniu zagadnień, związanych z życiem kobiety. Dlatego nie jesteśmy już dziś zaślepionymi szowinistkami i potrafimy poddać krytyce błędy i przywary niewieście. Lecz i tu unikamy przesady, gdyż wcale nie mamy zamiaru przerobić zjadaczek chleba w aniołów. Trzymamy się jedynie normy ludzkiej, ram człowieczeństwa, w których kobieta, będąc sobą, służyłaby społeczeństwu wartością swoich świadczeń.

Wejście kobiety w życie nie dokonało się jeszcze całkowicie. Trzeba, bowiem, zdobyć jeszcze niejedną pozycję, trzeba na zdobytym miejscu się utrzymać i temsamem niejako — walczyć. Jest to jednak walka szlachetna i uszlachetniająca, jak każda walka o prawa człowieka. Więc też i w nas samych odbywa się przemiana na lepsze, budzą się nowe wartości etyczne, wychodzą najaw takie cechy charakteru, których posiadania nam odmawiano. Przedewszystkiem zaś — owa solidarność, stanowiąca siłę każdej grupy walczącej. Wspieramy się wzajemnie prawie na każdym odcinku życia, rozumiemy znaczenie koleżeństwa we wspólnej sprawie i dla wspólnego interesu.

Oczywiście, uogólniamy tu tę świetną cechę dzisiejszej kobiety, to prawdziwie uniwersalistyczne pojmowanie postulatów i problemów kobiecych. W istocie jednak życie jest zbyt rozmaite i zbyt zindywidualizowane, by solidarność kobiet nie doznawała zała-

mań. Często egoizm życiowy dopuszcza się zdrady wspólnej sprawy, krzywdzi i rozpiera się bezwzględnie łokciami. Dzieje się to zazwyczaj, gdy w grę wchodzi t. zw. osobiste szczęście. Wtedy każdy środek wydaje się dobry i godziwy, byle tylko prowadził do celu.

Solidarność, którą się tak chlubimy, staje się więc bardzo iluzoryczna, i kobieta walczy z kobietą bronią wcale nie szlachetną. Opowiem jednak, o co rzecz idzie. — Kilka kobiet powierzyło mi swoje najintymniejsze sprawy. Były to żony dobre, miłe, oddane rodzinie, poprostu, zagrzebane w domowych zajęciach — żony, o których powiedział Mickiewicz: „Gdy na dziewczynę zawołają: żono — to już jakby ją żywcem pogrzebiono“. Panie te miały swój świat pracy, trosk i wielkiego szczęścia miłości. Nie były zresztą poza nawiasem współczesnych zmian w życiu kobiety i wychowywały swoje córki inaczej, niż same były wychowywane. Miały światłe pojęcia i entuzjazmowały się dla sprawy kobiecej, wprowadzie tylko teoretycznie, ale ze szczerem zrozumieniem ważności naszych sukcesów w dziedzinie praw i pracy.

Tymczasem jednak zła rzeczywistość zniszczyła ich spokój i szczęście, zmieniła ich stosunek do sprawy kobiecej. Historia ich krzywdy i rozczarowań jest prosta, jest prawie — trywjalna. Mężowie tych pań — urzędnicy, szefowie biur, jacyś dyrektorowie, kierujący przedsiębiorstwami, — mieli w swoich biurach urzędniczki: stenotypistki, sekretarki — młode dziewczęta. Siedem, czy osiem godzin wspólnego przebywania wśród wspólnych spraw biurowych może wytworzyć

bliski, nawet przyjacielski stosunek i pewną zgodność zapatrywań, konieczną dla sprawności pracy biurowej. I tak też zazwyczaj bywa. Kobiety urzędniczek są, mimo małej płacy i słabych szans awansu, obowiązkowe, staranne i chętne.

Ale w omawianych tu wypadkach młode urzędniczki, prócz pracy i zarobku, miały jeszcze swój cel uboczny: flirt z szefem. Zapewne i szef nie był od tego, widząc te minki i uśmieški. Jak różowa, figlarna wstążeczka, przewijały się słowa i słówka, które niby nic nie dopowiadały, ale były wyraźnie zaczepne. Temperatura biurowa podniosła się i na policzkach jaskrawiły się rumieńce. Czasami stawało się już nieco żenująco i romantycznie; czasami zbyt wesoło, roman-sowo, a nawet frywolnie. Wreszcie flirt przekroczył granicę zabawy i wszedł w fazę „zakochania się”. Szefowie odmłodnieli i przez pół dnia z sukcesem odgrywali amantów; wrócili niby te dawne lata, kiedy to, panie dobrodzieju, wolność bez uciążliwego balastu rodziny... A potem już druga połowa dnia, spędzona wśród rodziny, wydawała się nużąca, nudna, szara...

Nie mam zresztą zamiaru wdawać się w psychologiczne egzercycje, skoro przebieg tego rodzaju spraw i sprawek dobrze jest znany „szerokiemu ogółowi”. Epilog tych romansów na żarty—był przecież bardzo na serjo, mimo swej pospolitości. Więc—rozbitcie rodziny, pokrzywdzenie uczuć, nawet krzywda materiałna opuszczonych żon i dzieci.

Kto jednak zawinił w tej nienadzwyczajnej, niemniej przeto smutnej historii? Niewątpliwie mężczyzna, poważny wiekiem i doświadczeniem, posiadający obowiązki uczuciowe i moralne, ponosi większą odpowiedzialność; ale nie o nim chcę dziś mówić. Właśnie, nawiązując do solidarności kobiecej, pragnę tu kilka słów powiedzieć tym młodym, lekkomyślnym panienkom, aby wiedziały, co czynią.

Początek takiej w rezultacie niewesołej afery jest tylko igraszką, albo „próbą sił”, Zresztą mały flirt z szefem — ułatwia sytuację w biurze! Takie to proste, że niema potrzeby zastanawiać się, czy to jest uczciwe i czy odpowiada ludzkiej godności. Gdy jednak zabawa się uda i „stary” jest wzięty, ani już można, ani się nawet ma ochotę przerwać zabawę. Egoizm, poparty niewątpliwem „powodzeniem”, doradza poważniejszą akcję na własną korzyść. Bo, czyż to takie szczęście być całe życie maszynistką, buchalterką, albo sekretarką, skoro wystarczy palcem kiwnąć, aby zostać szefową? Zapewne, bywają także pobudki—powiedzmy—bardziej idealne, więc miłość

przez wielkie M; ale to znaczy, że flirtująca panienka wpadła we własne sidła i sądzi, że nabyła już jakieś—prawa. Wtedy, jak lwica, walczy o swoje szczęście, używając wszelkich metod—no, i zwycięża. Prawie zawsze zwycięża.

Nie będzie przesadą, gdy postępowanie tych młodych osóbek nazwiemy podłością. Niema dziś przecież tak naiwnej Małgorzatki, któraby nie znała życia i nie wiedziała, dokąd może zaprowadzić taki naiwny, biurowy flircik. O tem, że szef, czy kolega, na którego się zagięło parol, jest żonaty i ma rodzinę, wie się zresztą doskonale; ma się nawet zupełną świadomość, że postępuje się nieładnie; ale narazie jest to tylko zabawa, a ta „domowa” żona nic przecież o tem nie wie. A potem, gdy się już dowie, albo domysli, jak sprawy stoją,—afera przeszła już w dziedzinę „uczucia” i krzywdy tamtej kobiety nie można brać pod uwagę. „Przecież mnie kocha — nie swoją żonę!” Niewątpliwie tak jest; ale, jak doszło do tego?

Doprawdy, przyznaję się, że nie umiem sobie poradzić z tą kwestją, która nadawałaby się raczej do beletrystycznego opracowania i nie chce się zmieścić w ramach artykułu. Tyle tu finezyj, tyle psychologicznych zakamarków, tyle dramatycznych i bodajże tragicznych momentów! Zbyt często jednak zdarzają się dziś takie romantyczne zawikłania właśnie na tle biurowej współpracy, że należało poruszyć tę sprawę i ocenić ją, jako zło, które przybiera niemal cechy nagminne.

Tyle już na tem miejscu pisało się o przyczynach rozbitcia rodziny, więc pozwoliłam sobie przytoczyć jeszcze jedną przyczynę. A czynię to pod wrażeniem oczywistych faktów, pod wrażeniem zbliżonej widzianej krzywdy kobiety. Sądzę, że i w tych wypadkach solidarność kobiet jest potrzebna, i że tylko poczucie solidarności może zapobiec smutnym igraszkom, nietetycznym zabawom, obniżającym opinię kobiety pracującej, a przynoszącym nieszczęście rodzinom.

Przypominam tu jeszcze, że w wielu biurach niechętnie przyjmują kobiety z obawy przed — flirtem, przeszkadzającym w poważnej pracy. Niemniej też często przyjmuje się tylko młode i ładne kobiety, bez względu na ich kwalifikacje fachowe, bo właśnie panowie koledzy i szefowie chętnie flirtują z koleżankami i pracownicami. Oczywiście, zaradzić temu może tylko poważne traktowanie pracy przez kobiety. Biuro nie jest salonem, nie jest terenem dla zawodów flirtowych, czy jakichkolwiek erotycznych igraszek.

Herminja Naglerowa.



M. H. SZPYRKÓWNA

PISKLETA

Zapewne niesłusznie, ale niemniej—zawsze przepadałam za podróżami nietylko dla ich krajobrazowego, zewnętrznego znaczenia. Mam dla siebie z podróży wartości specjalne — może literacko-psychologiczne, żeby już użyć dużego słowa? Może—i to pewniej—poprostu ludzkie... Dość, że największym wdziękiem i nigdy niesytem ciekawości wrażeniem podróży są — spotkania. Sylwetki, wymijane gdzieś po szerokich rozdrożach świata — ludzie, wczoraj nieznan, a jutro nieraz już obcy, o których się zazębia przypadkowo koło naszego życia; czasem — aby się zatrzymać, czasem — aby nabrać tem większego rozpędu. Ale zawsze przecież niewątpliwie poto, aby jakiś ślad w naszych duszach te pozornie przypadkowe zahażenia pozostawiły.

Mniejsza z tem, na jakiej to było krzyżownicy przecinających naszą Polskę szos, mniejsza kiedy i przy jakiej sposobności... Dość, że w Polsce i niedawno, bodaj z powodu nagłej niedomogi z autem, trafiliśmy całem letniskowem towarzystwem, pod ulewą, na chwilowy a gościnny przytułek do najbliższego osiedla, jakie tam było — i tam przeczekaliśmy konflikty deszczowo-autowe.

Czy jest istota, ciekawsza od kobiety, przez wielorakość barw, jakimi gra, zależnie od światła życia?

Nie mam nigdy dość obcowania z dzisiejszą kobietą, z tą kobietą par excellence współczesną w tem zrozumieniu, że mieści w sobie jakieś stokrotne możliwości i współczesności, dawniej, zdawałoby się, nie do pomyslenia. Zarówno najwyższy wykwiut kultury, jak i jej najtwardsze wymogi, wczoraj podzielone między kobiety z różnych sfer, dziś mogą się skupić w jednej. I owa dzisiejsza jest dlatego ciekawszą i bogatszą niewątpliwie o te sławne siedem dusz kobiecych, które zdołała zjednoczyć w sobie samej, jak tęcza jednoczy siedem kolorów, jak siedmioramienny świecznik — swoje siedem płomieni. A pytanie, czy nie umiała zjednoczyć w sobie samej i siedmiu ciał? Czy ta sama dama, władająca wszystkimi urokami finezji ruchu, stroju i wysłowienia, mogłaby być osobą w korzuszku i długich butach, sprawdzającą zasiewy, udoje i budowy? Lubię nad wyraz tę właśnie różnorodność i giętkość kobiecą obserwować, a wyznam, że, im więcej jej spostrzegam, tem głębiej ją — podziwiam.

Dlaczego — podziwiam?

Bo uważam, że jednym z potężnych motywów, które dają kobiecie rozpęd i hart wyluskiwania się aż nadto nieraz bolesnego z poprzedniej skóry, aby się oblec powoli — a często nagle — w nową: jest wciąż ono. To małe, bezradne, despotyczne, nieznośne i rozkoszne stworzenie, które się wyodrębnia w pewnej fazie życia z ciała i duszy kobiety, jako przedłużenie tej duszy i tego ciała, widzialne nazewnątrz i mo-

żliwe do ukształtowania lepiej, niż własna jej, nieuchwytna dla oczu, istota. Dziecko!

Czyżby dawniej kobiety nie miewały, lub nie kochały dzieci, czyżby dawniej się dla nich nie poświęcały? Ach, oczywiście! Ale teraz — kobieta nie potrzebuje już umierać dla dziecka, umie już dla niego żyć! I nauczyła się już dziś wytłoczyć z życia pracą, wolą, sprytem i fachowością konieczną dla swego istnienia miazgę strawy powszedniej, ażeby maleństwa w swoim gniazdku mogła nakarmić i uchronić od zaguby. Dziś stać ją już na to! Czy dlatego, że mężczyzn aż nadto często dziś na to już nie stać? Czy dlatego, że gniazd, rozbitych na dwoje, jest dziś coraz więcej? Czy, przeciwnie, dlatego jest ich coraz więcej, że mężczyzna już przekonał się o zaradczości kobiety, która, ciężko i krwawo nieraz, ale da sobie radę i bez niego? Chi lo sa? Dość, że tak niewątpliwie jest. Nikogo dziś nie dziwi nieobecność pana domu: życie jest rozrzucone i podarte na strzępy koniecznościami zarobkowemi; urzędnicy, wojskowi i zresztą ludzie wszystkich fachów są dziś tak często przerzucani z miejsca na miejsce! Dwa domy, to rzecz coraz częstsza. To też pobieżnie tylko dowiedzieliśmy się, że pani domu rządzi narazie swemi włościami sama, bo mąż musi być w mieście, a chciałyby, żeby „maleńtasi” były jaknajdłużej na wsi. Musimy jej wybaczyć, bo się dopiero ciężko zagospodarowuje na jakiejś ponieścieckiej parcelacyjnej resztówce, i właśnie pójdzie dojrzyć jakichś gospodarskich konieczności, z improvizowanym obiadem na nasze poratowanie włącznie. A maleńtasy będą robiły honory domu.

Wiele ich było? Doprawdy, nie umiałabym powiedzieć! Może troje, a może właśnie i pięcioro. Wszystko to było takie jednakowiutkie, tłuściutkie, czyściutkie, różowiutkie! Wszystko miało od lat czterech do dziewięciu i ubrane było od Pana Boga w jednakowe niebieskie oczka i białe loczki, a od matki — w jednakowe niebieskie paseczki i białe kołnierzyki. Czytałam kiedyś bajkę o stworzonkach-Uszatkach: to były stworzonka-Pasiatki, i tak mi już w pamięci zostały.

Nie zapomnę szczególnego kontrastu wielkiego, pustego, niezamieszkanego i niezremontowanego jeszcze dworzyszczka, gdzie wszystko wołało o dodatki, — z temi rumianami, roześmianami, głęboko zadowolonymi z życia dzieciakami, tak dokapanami, doczesanami, dokarmionami i dokochanami, że już nic im chyba dodać nie było można! Była to najszczęśliwsza czwórka — bo może ich wkońcu było czworo?! — jaką widziałam: malutki, pszczeli roik, z matką w ośrodku ich malutkiego istnienia, której byli pełni i której zresztą pełno było w ich opowiadaniach. To — drzewko, które zasadzali razem z mamusią. To — serweta, którą mamusia sama wyhaftowała. Z tej książeczki mamu-

sia czytuje z najstarszym Pasiatkiem śliczne historie. A to jest pokój mamusi, gdzie sypia także w plecieniu łóżeczku najmniejszy z Pasiatków, i mamusia sama zaplotła je z bońcią, bo tutaj nie można było dostać. Tam w ogrodzie jest grządka, gdzie dzieci z mamusią sadzą swoje kwiatki. Tej mamusi było pełno, pełno! Przechodziła czasem zaaferowana przez pokój z kluczami, ładna, wysportowana, energiczna, uśmiechając się przelotnie do nas i do Pasiatków. — Ale pozatem, bawiła nas wyłącznie młodzież, no i najsensacyjniejszym zwierzaniem wkońcu okazało się to, że w ogródku, w krzaku bzu, mieszka tajemnicze stworzenie, które się nie da wprawdzie widzieć, ale istnieje napewno. A nazywa się, żeby było łatwiej zgadnąć, Lebo-Lebo-Ak-Ak. Tak je nazwał najmłodszy Pasiatek, bo Lebo-Lebo jest jego niejako nadwornym duszkiem przybocznym.

Ubawiłam się tem Akakiem serdecznie. Przypomniały mi się historie z „gujsztwakiem“ u Kadena, i piskłeta Rogoszówny. Ach, te dzieciaki z ich fantazją! Lebo-Lebo grał w życiu maleńtasów rolę bardzo wybitną. Lebo-Lebo naprzykład, nie lubi kaszki rano — i niema sposobu wmusić w maleńtasa kaszkę. Lebo-Lebo każe kochać mamusię i modlić się za zdrowie kota. Jeżeli fartuszek małego Pasiatka splami się zawczasie, zawiniło bezwzględnie Lebo-Lebo. Lebo-Lebo jest to siła niewidzialna, ale istotna, reprezentująca w życiu Pasiatków swoiste fatum złe, lub dobre. Ale któremu się przeciwstawić nie sposób. Obejrzelśmy jeszcze książki mamusi, szal włóczkowy mamusi, fotografie mamusi. I właśnie przechodziliśmy przez przedpokój, kiedy malutki Pasiatek wskazał na wieszadła. — A to płaszcz tatusia! Został tutaj jeszcze z wtedy, kiedy był dobry! I do nas często przyjeżdżał!.

Kto był dobry? Tatus? Czy płaszcz?.. Nie pomyślałam wtedy, tylko, odruchowo niejako, mechanicz-

nie—jakże mi potem było przykro!.. spytałam:

— A teraz tatuś jest gdzie? Może przyjedzie?

I nagle uczułam, że popełniłam jakiś nietakt. Małeńkie, pracowite brewki zasepiły się, buzia się nadała w podkówkę, błękitne oczka nieufnie wyjrzały z pod rzęs, jak obrażone fiołki. Cała czteroletnia, wijąca się jeszcze blond loczkami logika skupiła się w myśli, którą chciał, a nie umiał dokładnie wyrazić. Wreszcie odwrócił troszkę główkę odemnie i powiedział do ściany: — Tatusia niema. Tatus daleko! Tatusia wzięło i trzyma w mieście Lebo-Lebo-Ak-Ak!.. Jest... Tylko mamusia zawsze jest!

Rozświergotane przed chwilą buziaki nagle zamilkły, oczka się zasepiły. Wyszliśmy czempredziej z przedpokoju, gdzie wisiał bezduszenie płaszcz, jak forma, wyzuta z treści. I właśnie zrobił się obiad, i właśnie było zaraz potem gotowe auto, i już nie było sposobu myśleć i mówić o rzeczach abstrakcyjnych, jak... czy i kiedy wolno odejść, pozostawiając tylko dawną łuskę. Siedzieliśmy w aucie i kiwaliliśmy ładnej, dorodnej pani, do której kolan tuliła się gromadka pasieczków, wymachując za nami różowymi piastkami. I miałam wrażenie, że czegoś nie dokonałam. Że powinnam była przykleknąć przy małym Pasiatku, aby być na jego poziomie i powiedzieć do uszka pod łokiem, że jednak przecież Lebo-Lebo bywa czasami dobre, skoro się każe modlić za kotka, i, kto wie?.. może puści tatusia? I jeśli spotkam w mieście tatusia, to mu napewno powiem, że nie można przecież odjeżdżać od małych synków, których trzeba wychować na dużych, dzielnych mężczyzn, aby ich żonom i dzieciom nie mogło zrobić krzywdy... Lebo-Lebo-Ak-Ak!..

O, niewidzialna, niedobra siło, nienazwana istotę każdego kobiecego serca! Ileż trzeba mocy i hartu, aby małym pisklątkom stworzyć ochronę od jej zaborczych szponów!.

JESSIE CONRAD-KORZENIOWSKA

JAKĄ POWINNA BYĆ ŻONA PISARZA

Nie mogę wyobrazić sobie pisarza, który wybrałby sobie żonę, rozważywszy uprzednio z całym spokojem przydatne, lub dające się „zażyć“ cechy jej charakteru i temperamentu. Większość z wybitnych, znanych mi osobiście pisarzy stawała się wpiertw typami Benedykta, tego z komedji Szekspira, zanim zostali autorami.

Trudno jest powiedzieć, wiele z pośród tych wybranych żon miało w sobie dane potem, aby stać się prawdziwą pomocą swych mężów, aby rozwinąć w sobie owo konieczne, cierpliwe współczucie i zrozumienie. Tak wiele jest kobiet zbyt wymagających,

lub zbyt obojętnych, aby stać się mogły istotną pomocą prawdziwego pisarza!

Człowiek, którego twórcze dzieło ma coś zawżyć w świecie, daje mu się pochłonać i często zapomina o prawach, które jego żona lub przyjaciele roszczą do jego uwagi. Nie oznacza to bynajmniej obojętności lub zaniku uczucia z jego strony i nie znalazłabym chyba człowieka, który nie poczułby się zraniony najłżejszym tego rodzaju podejrzeniem. Sądzę jednak, że pisarz i, najbliższy mu duchowo, muzyk, pograżając się coraz bardziej w swe myśli—coraz mniej jest świadomy tego, że w domu jego przebywa inna

jeszcze istota, której obecność zaledwie uznaje. Niech zjawisko to nie będzie nigdy powodem wymówek, łez lub scen i — co, niestety, zbyt często się zdarza — urazy! Żona, która folguje sobie w ten sposób, niszczy często wyteżoną pracę paru miesięcy, a nieraz pozbawia świat arcydzieła. Niewielu jest mężczyzn, którzy potrafią stawić czoło scenie, nawet jeśli w głębi własnego sumienia przyznają coś niecoś słuszności oskarżeniu. Znałam kobiety, okazujące tyleż zazdrości i rozżalenia, przekonawszy się, że praca męża stała się ich rywalką, ile okazałyby jej, gdyby inna kobieta zajęła należne im w jego sercu miejsce.

Być żoną wielkiego, cieszącego się zasłużonym powodzeniem pisarza, którego praca jest uznana i sprawiedliwie oceniona za jego życia — jest szczęściem. Istnieje tyle sposobów, z których pomocą kochająca kobieta może stać się niezbędną dla najbardziej wybitnego autora, nie czyniąc zupełnie swego starania nużącym, ani nawet zbyt widocznym! Gdy nadarzy się odpowiednia sposobność, może mu okazać całe swe głębokie zainteresowanie i bez pochlebstwa dozwolić mu spostrzec, że docenia w zupełności jego wielkie dzieło. W tem właśnie będzie leżała jej siła i moc; a gdy ukochany przez nią mężczyzna poczuje się zrozumianym i dzieło jego nie spotka się z wrogim krytycyzmem w jego domu — naprężenie konfliktu straci wiele na swej sile.

Pisarz, gdy chodzi o miejsce jego pracy, potrzebuje jeszcze więcej wyrozumiałości, niż malarz. Nikomu nie przyjdzie do głowy odmówić malarzowi pracowni z należytem oświetleniem i urządzeniem, lecz zbyt często pisarz, niezależny od okna, wychodzącego na północ, z trudnością będzie mógł znaleźć właśnie taki pokój, właśnie takie otoczenie, które dopomogą mu w jego pracy.

Doświadczenie trzydziestu lat współżycia ze specjalnie wrażliwym artystą, człowiekiem, dla którego najwłaściwiej użyte słowo znaczyło wszystko, który wymagał długich godzin samotności, aby móc się skupić — nauczyło mnie wielu rzeczy.

Gdy kobieta zostanie żoną literata, obowiązki jej są jasne. Stworzenie mu właściwego otoczenia jest rzeczą pierwszorzędną wagi, a w żadnym innym zawodzie, jak właśnie w literackim, wybór tego otoczenia nie jest tak różnorodny i zależny od indywidualności. Znałam autora, którego „pokój udręczeń“, jak to nazywał Konrad, był nie większy od sporej szafy. Człowiek ten przez wiele lat był żeglarzem i przywykł do przebywania w małej kajucie. Inny znów wymagał wielkiego pokoju z oknem, wychodzącym na morze, wysokiego pulpitu i pióra z kolca jeżozwierza. Mąż mój, jakkolwiek posiadał wiecznie piszące pióro z olbrzymim rezerwuarem, wielkości nieomal karabinu maszynowego, według własnych jego słów — nie pozwalał nalewać doń atramentu i upierał się przy maczaniu go w kałamarzu. Znam wybitnego pisarza, któremu żona stawiała przemyślnie pod ręką cały zbiór

tanich, fajansowych naczyń, aby tłuczeniem ich mógł zaspokajać chwilową wściekłość. Często śmiałam się zdecydowanie na myśl o człowieku, w którym wściekłość wzrosła aż do chęci niszczenia, wstrzymującym się jednak tak długo, dopóki nie znajdzie czegoś kruchoego, a jednocześnie taniego. Chyba w ten sposób odkładane wyładowanie zapalczowości nie znajdowało należytej satysfakcji!

Moje własne doświadczenie przywołuje mi przed oczy długi, niski pokój w starym, wiejskim dworku. Wszystkie stoły pokryte szczelnie zapisanymi arkuszami papieru, cienkie, spiralne kolumny dymu, wznoszące się z dwóch lub więcej nawet głębokich popielniczek, często w groźnej bliskości rękopisu, i wysoka lampa, paląca się późno w noc, której światło stawało się blado-żółte we wczesnym słońcu poranka.

W okresie tych wczesnych ranków było nieomal zbrodnią poruszyć któryś z arkuszy papieru, zaścieniających stoły, zbrodnią również podnieść którąś z książek, rozpostartych okładką do góry na posadzce. Moje nieśmiałe próby wytarcia kurzu i uporządkowania tych zawalonych stołów bywały zwykle odtrącane i traktowane z żalem, jako dokuczliwe.

Nadchodził wreszcie i dla mnie czas żniwa, kiedy rękopis i poprawiona kopja zostawały powierzone poczcie, lub, co bywało częściej, wysłane na miejsce przeznaczenia przez zaufanego, starego służącego. Wtedy to nadarzała się dla mnie gratka. Wszystkie szczątki rękopisu zostały starannie zebrane i zawartość głębokiego kosza wytrząśnięta, a nieraz przytem niespodziewanie odzyskany skarb, np. najulubieńsza spinka. Spinka ta była prawdopodobnie swego czasu kością niezgody, przedmiotem długich, męczących poszukiwań i powodem oskarżeń Bogu ducha winnej pokojówki. Wynurzały się wtedy na światło dzienne listy z zaproszeniami, datowane z przed miesiąca, rachunki i kwity, których napróżno szukano — wszystko to spiętrzone w bezładnej mieszaninie.

Okres tych żniw nie trwał jednak długo, gdyż nie bacząc na to, jak bardzo uskarża się artysta na swój los, jak wiele ma do zarzucenia dywanowi i obiciu mebli — powróci on wkrótce do przedmiotów, otaczających go zazwyczaj podczas pracy, jak ptak, który powraca do gniazda. A biada wówczas, jeśli obicie foteli, witające jego wzrok, okaże się cokolwiek zbyt jasne w odcieniu lub agresywne w rysunku!

Troskliwa żona powstrzyma się również od okazania najłżejszego nawet wyrazu triumfu przy wydobyciu utraconych skarbów, a czyniąc tak, zyska niezmiernie w opinii męża. W głębi ducha będzie on bowiem, wiedział, dlaczego ta właśnie spinka po długiej przerwie ukazała się znowu; domysli się, za czyją to sprawą jego pióra i ołówki znajdują się znowu tuż pod ręką, gotowe do dalszego użytku, i wyda w samotności cichy pomruk zadowolenia. A jeśli jest mądrym człowiekiem, jakąś miłą drobnostką da wyraz uznania dla troskliwości i taktu swej żony.

ANNA SŁONCZYŃSKA

MGŁA NA MORZU

Na morzu jest mgła biała, na niebie jest mgła biała, i mgłą białą dziś cały jest świat.
Któżby za nią zgadł—błękit, któżby za nią zgadł—słońce, któżby—życie za ową mgłą zgadł?

Niebo zlewa się z morzem, morze zlewa się z niebem, są wyblakłe, bo światła w nich brak.
Słońca niema, odeszło, chyba nigdy nie wróci, trzeba żyć już bez niego, lecz — jak?

Zimny piasek wyciąga spragnione, suche wargi, chcąc zanurzyć je w wodę, jak w lek...
Ale fale nie idą, uwięzione są w morzu, jedną kroplą nie bluzgną już w brzeg!

Tęsknią łodzie spuszczone, w miękką toń zanurzone, czekające na biały pian deszcz — — —
Niechby choć zahustanie... niechby kołys choć jeden... niechby lekki, najlżejszy choć dreszcz!...

Wilgoć wsiąka w powietrze, gasi światła na ładzie, ziemię z barw jej wywabia, jak z płam.
Gdzie jest wiatr, co mgły zrywa—gdzie jest wiatr: czy dech stracił, czy w mgieł sidła oplątał się sam?

Znikąd ruchu ni szumu, znikąd blasku ni ciepła, znikąd śmiechu, a nawet i łez!
To kres chyba wszystkiego, kres kolorów i dźwięków, kres upałów i deszczów też kres...

Czasem mewa przeleci, machnie skrzydłem swem białem, niby chustką, i pierzchnie gdzieś w mig.
Tylko cisza nie pierzcha, tylko senność, mgła tylko, w której cały horyzont już znikł!

Nagle — okręt wypłynął, jęknął, dym swój rozwinął, i jęknąwszy ze wszystkich sił znów,
żałobną swoją wstęgą na powietrzu napisał — najsmutniejsze z nieznanym nam słów.

ZACHÓD NAD MORZEM

Zmierzch za chwilę już będzie, za chwilę — ale jeszcze nie myślmę nic o tem:
bowiem morze — to lustro niebiosów — szkłem błękitnym i światłem lśni złotem,
i chce lazur tak odbić głęboko, niebieskością tak nalać się pięknie,
że się nawet rysami nie skala, że na bryzgi już nawet nie pęknie.

Słońca wprawdzie nie widać, bo pewno utrudzone krążeniem wysokim,
zasłoniło złociste swe oczy, niby białym wachlarzem, obłokiem —
lecz przez obłok ten — wciąż nieruchomy, jakby oczu tych złotych był stróżem —
prosi światłem swem barwy moreli, prosi lśniącym, różowym swym kurzem...

I gdy owa świetlistość tak ziemię całą olśni i całą rozjaśni,
świat nie zdaje się wcale już światem, świat się zdaje cudownym snem baśni,
gdzie różowość się topi w modrości, kędy modrość się różem powleka,
w wód błękitnie różowe lśniące świece, kwitną róże na niebie zdaleka!...

Jeśli w takiej godzinie zlatuje nad to morze z dwóch barw — biała mewa:
(biała mewa, co dobrze jest znana i co ciągle nad brzegiem powiewa)
to gdy leżąc na wodzie spłonionej, u błękitnych fal łona szeleści,
zda się posłem-gołębiem, co chyba prosto z nieba im szepce tam wieści — — —

Jeśli w takiej godzinie przepływa któraś z białozagłowych — żaglówek:
(szorstka bardzo w dotknięciu i często cała mokra od morskich wędrówek)
to jej żagiel się zdaje aniołem, który tylko w rumianej zórz łunie
skąpie białe swe skrzydło — i zaraz, zaraz w niebo otwarte pofrunie — — —

Jeśli w takiej godzinie podjeżdża — mały, czysty, bieluchny stateczek:
(do przystępnych służący, do bliskich, do codziennych po morzu wycieczek)
to się zdaje — gdy burta mu załśni brylantowej na świetle od śniegu —
że on gdzieś aż do złudzeń krainy, gdzieś do szczęścia powiezie aż brzegu — — —

HERMINJA NAGLEROWA

2)

NIEPOTRZEBNE WZRUSZENIE

(nowela)

Poszarzał jakby dzień i mąciła się nieudolna myśl w poszukiwaniu nowych prób podejścia choćby tylko do świadomości współmieszkańców. Po pokojach szedł żywy głos kobiet i chwilami miało się wrażenie, że już przyciąga do siebie, już jest łaskawszy.

Lucjan ocknął się wreszcie któregoś dnia:

— O kogo to tak zabiegam?

Wtedy stało się gorąco i parno od wstydu, a plecia ambicji nie miała litości. A wnet potem zrobiło się jasno i przeczoczście od mroźnej pogardy. Można było niby nawskroś przejrzeć i widzieć wszystko — dla własnego użytku. Nawet zapisać w notesie ku wiecznej pamięci:

„Doktorowa: Mąż umarł przed dziesięcioma laty. Syn zagranicą w Ecole des Sciences Politiques. Niezła. Głupia. Pożycza drobne sumy od Ewy, a pudru i kosmetyków od Felicji“.

„Felicja: Trzydzieści pięć lat. Zarozumiała. Pewna siebie. Apodyktyczna. Może nawet mądra życiowo. Romansuje z szefem“.

„Ewa: Lat dwadzieścia dwa. Bogata panna z prowincji. Pustak. Ładna, nawet bardzo ładna. Dancingi. Kina. Sporty. Auta. Niby studjuje medycynę“.

Gdy się już tyle wiedziało, aby ułożyć takie właśnie „rysopisy“, trzeba było pogardzać wszystkimi trzema. Conajwyżej można było, jako niemy słuchacz tej babskiej ćwierkaniny, dowiadywać się jeszcze o tem i o owem. Bo jakoś tam żyły swoim życiem i czemś się cieszyły, czemś znowu „zamartwiały na śmierć“. Wszystko to było małe, do pięt Lucjana nie sięgające, choć się tak śmiesznie wynosiło ponad jego głowę. Machał na to ręką i krzywił się, jak w teatrze na marnej sztuce. Miało się przecież swój ważny świat pracy i myśli i dlatego nawet lepiej było, że się nie wplątał do „rodziny“. Cichutki i nieznaczny, mógł w swoim pokoju pisać komentarz do „Figlików“ Reja i cieszyć się rubaszną złośliwością tego kapitalnego Mikołaja z Nagłowic. A mając już takich dostojnych znajomków, którym się poprostu dłużyło w zębach po sutych libacjach Rzeczpospolitej Babińskiej, nie musiało się dbać o te kapryśne białogłowy. Lucjan nawet nie ukrywał grymasu lekceważenia, złościącego się w wiotkich policzkach. W ten sposób odmierzał swoją odległość od pospolicności. Było więc raczej dobrze i spokojnie, gdy się już poniechało niepotrzebnych wysiłków i zatrzymało swoje osobne miejsce w tym domu.

Po kolacji, a czasem w niedzielę po obiedzie, „rodzina“ gromadziła się w saloniku. Lucjan miał już wój upatrzony fotel, nieco nauboczku, a smak czarnej

kawy spinał zadowolone wargi. Mogła się tu dowoli puszyć własną wartość! Oczy nie zaszczycą żadnej z pań zbytnią uwagą. Lucjan wiedział przecież i tak, że Ewa jest śliczna i różowa, a złoty jej czub strzepi się, jak chryzantem. Wąskie biodra Felicji są, jak zawsze, opięte przylegającą suknią, a doktorowa jest dostojnie blada od pudru.

Tak sobie tu rozmawiały twarzą w twarz, więc też Lucjan, jak zwykle, nie był w kręgu ich patrzenia.

Ewa mówiła:

— Znowu zacznie się to chodzenie do dancin-gów, bo Karol i Lutek przyczepili się klajstrem. Asystent pomaga w preparowaniu uda, więc i tak robota będzie gotowa na czas.

Felicja paliła papierosa i dmuchała w sufit.

— Mój szef nie da mi w tym roku urlopu, bo sam także nie pojedzie. Wysłała żonę z dziećmi już za tydzień do Gdyni. Tyle teraz mamy pracy z powodu budżetu!

Lucjan miał ochotę uśmiechnąć się ironicznie, bo przecież dobrze już teraz rozumiał sens tych wynurzeń. Ale miny pań były poważne. Doktorowa westchnęła nawet:

— Żeby choć z tej pracy było lepiej w Polsce!

Potem poznosiły panie jakieś gałganki i mówiły uczenie o kloszach, godetach, plisowaniach skośnych stebnach, wycięciach. Naradzały się i sprzeczały ze sobą. Słowa już prawie wbiegały na siebie, niby w groźnym karambolu. Policzki stały się okrągłe i rumiane, ręce gwałtowne, to znowu delikatnie pieszczące fałdy jedwabiu.

Lucjan myślał:

— Otóż to, otóż to... cały ich świat!

Zmęczyły się wreszcie, bo milczały długo, uśmiechając się w powietrze. Nagle Ewa wybuchnęła zachwytem nad Mary Pickford, Felicja natomiast pogłaskała czułym epitetem Ramona Nowarro. Słowa biegły teraz obok siebie, jak para małych, dzwoniących ratlerków, prowadzonych na lince. Potem zmieniła się barwa głosu. Malutki przydech zaparował tęsknotą, czy rozmarzeniem. Tak właśnie mówiło się o automobilach, o markach, cylindrach, hamulcach, szybkościach, raidach. Szef Felicji ma Buicka sześciocylindrowego. Ewa wolała jednak Chylera i to li-muzynę.

— To cud, mówię wam, prawdziwy cud!

Doktorowa miała tu swoje zdanie. Nie znosiła samochodów.

— No tak, ale ja jestem stara!

Obie dziewczyny zaprotestowały:

— Niema dziś starych kobiet!

— Mam dorosłego syna; zobaczycie, jak przyjedzie.

I Lucjan aż się zdziwił, że twarz doktorowej stała się odrazu mniej dostojna. Zmieła się, niby białe płótno.

— Co, co się stało? — Felicja stała już przy krześle doktorowej, marszcząc czoło.

— Ściał się przy egzaminach i wraca.

Lucjan nie mógł pojąć tego uczucia, które ogrzało mu serce, zaśmiało się w gardle i łaskotało w dłonie. Nieznacznie pocierał ręce. — Ha - ha - ha, mamin synek, dryblas, wałkoń!

Wyzwiska wyskoczyły, jak polne koniki z gęstwy zboża. Bo, jakże! Ściał się, cudo malowane! O tym Edziu mówiło się tu zawsze z potrójnym ukłonem, i istniał gdzieś pozaobłoczny, ledwie dościgły nabożeństwem matki. Można więc było naprawdę wierzyć, że to niebyle jaki genjusz mebluje sobie głowę w Paryżu, a tymczasem — „perfumowane rękawiczki“, jak pisał Rej.

Felicja wciąż jeszcze namyślała się nad własnym mądrym słowem, gdy Ewa rozstrzygnęła:

— Doskonale, że przyjeżdża!

I doktorowa uśmiechem wyglądziła twarz: — Dwa lata go nie widziałam!

Lucjan pożegnał panie, które już utonęły w zachwyconym dyskursie o Edziu. Wyniósł jednak z saloniku niby coś drogocennego, malutki skarb — złośliwą satysfakcję.

— A no, tak, właśnie! Atmosfera bezmyślności, łatwego używania, prostactwa myśli. Ściał się synalek i pudrowana twarz cierpi. Już tu mądra główka Felicji nic nie wymyśli, nie poradzi, nie uładzi! Dryblasik wróci, posiedzi na karku, potańczy w dancingu. Ewa w sam raz na partnerkę do fikania.

I wtedy, niby nagły wytrysk fontanny — wysokie, srebrzyste, klaszczące:

— Dobrze im tak!!

Wzmocniło się w Lucjanie, jak po łyku wódki. Chodził po pokoju, głośno stukając obcasami, choć to już dość późno i cisza snu rozszumiała się po domu. Ale, czyż to zawsze musi fruwać bezszelestnie i rozwiewać się w nicłość dla czyjejs tam chęci, czy niechęci? Podłoga skrzypiała więc triumfalnie, a dym fajki okadzał pokój śliczną, siną wstążeczką. Sąsiadka zakaszła.

— Przeszkadza jej moja fajka — ucieszył się Lucjan. — Niech przynajmniej wie, że... jestem! — I niewiedomo, dlaczego chciało się teraz brać odwet za wszystkie doznane klęski. Właściwie jednak nie tak łatwo było zademonstrować zuchwałą pewność siebie. Obyczaj domowy miał tu swoje ustalone pra-

wa, i musiało się im poddać poprostu dla własnej wygody. Tyle tylko, że drzwi może trochę głośniej trzasnęły, gdy Lucjan wychodził z domu. Raz skrzywił się nad łojowatą baraniną, innym razem skrytykował film, którym zachwycały się panny.

Ale jakoś nikt nie zauważył bojowości Lucjana. Strzały bzyknęły w powietrze, nie trafiając w upatrzonego cel. Złośliwa zaczepność była taksamo niepodjęta, jak grzeczność, życzliwość i chybione umizgi. Teraz jednak Lucjan rozporządzał już konkretnym materiałem i wiedział, że może każdej z tych pań zadać bolesny cios. Oczywiście — delikatnie, z subtelną ironją, ale dotkliwie.

— Jakże tam z pani udem, panno Ewo?

— Z mojem... udem?

Śmiały się wszystkie trzy, porozumiewawczo, nieprzyjemnie. Trzeba więc było czempredziej rejterować i gdyby chciały, mogłyby widzieć czerwony cień na czole i policzkach Lucjana.

— Czy pani szef ma dużą rodzinę? — badał Felicję inkwizytorskim tonem.

Felicja, bynajmniej niespłoszona, odpowiedziała:

— Żonę i dwoje dzieci.

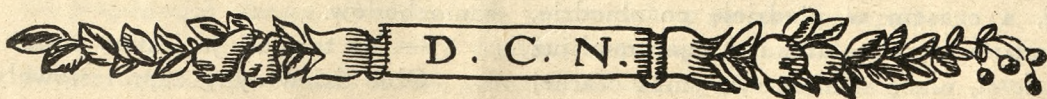
Cóż można było jeszcze dodać do tych rzeczowych wyjaśnień?

— Jakże syn pani doktorowej?

— Myślę, że będzie już tu za dwa, trzy tygodnie.

Lucjan mógł dowoli wykrzywiać twarz w wiedzących uśmiestkach, nikt przecież nie dostrzegał tych grymasów, które chciały być złośliwe. Ewa miała bowiem swoją radość z rychłego przyjazdu pana Edzia, a Felicja mrugała do doktorowej, że już mówiła z szefem i pewnie da się coś zrobić dla syna. Wobec takich sojuszów Lucjan musiał ostatecznie złożyć broń. Znowu trzeba było stąpać na palcach i ostrożnie przymykać drzwi, znowu milczeć i usuwać się z drogi. Był przecież w obozie wrogów!

Zato w szkole natężony głos mógł obwoływać wielkość genjuszów, a gładką swadą należało odrobić milczący przymus domowy. Właśnie dlatego ponad miarę urastało się w klatce katedry, wydmuchując powagę i rażąc mieczem nieomylności. Małe, chude ręce były, jak szpony, oczy godziły w nieszczęsne głowy uczniów i serce nie chciało wybaczyć ani jednego sonetu Mickiewicza, ani jednej oktawy Słowackiego. Zaciekłość rozpruwała strofy aż do dymiących jelit, a kajety ociekały czerwoną krwią, niby zmasakrowane ciało. Tu już bezsporna była ważność profesorska, odczuta w groźbie stopni, w dygocie uczniowskiej tremy. Tu wyprostowywała się własna godność z hańby poniżenia. Dopiero na przestrzeni między szkołą a domem dokonywała się bolesna metamorfoza.



B A B Y

VIII

O trzy kilometry przed stacją N... padła komenda maszynisty:—złazić!—Władze oficjalne nic o tych pasażerach lokomotywy nie wiedziały. Resztę drogi trzeba było wlec się piechotą. O świcie, na głodno, zamarzniętą drogą kolejowego nasypu.

Ale im jakoś dopisywało szczęście. Skądś zdołał wygrzebać aromat wodnistego, lecz gorącego kakao. I suchary, w długich, blaszanych amerykańskich puszkach więzione. Sam jadł mało. Tak, żuł pojedyncze suchary. Zato patrzył na nią i czujnie wsłuchiwał się w to nowe, straszne i tajemnicze, co wewnątrz niego wyrastało.

Pierwszy etap podróży — pokonany. Pozostały jeszcze dwa: z N. do K. i z K. do Czerkas. Skupiał się w sobie dla przewyciężenia i tych trudności.

I na tej stacji służbę kolejową znał na wylot. Smarował. Ostatecznie dopiął swego.

Prowadzono ich torami, wpoprzek zagmatwanej sieci błyszczących żelaznych szyn kolejowych. Szli i szli. Sami już nic nie wiedzieli. Aż nagle stanęli wobec tasiemcowego towarowego pociągu. To tu: transport wojskowy do K... Konie, armaty, amunicja. Mieli przykucnąć na jednej z ostatnich platform. Siedzieć cicho. Nikt ich tu nie ruszy. Pociąg już skontrolowany. Trudność polega na tem, by wyskoczyć przed stacją. Bo gdyby ich złapano, tu, w wojskowym pociągu... No, no, nie zazdrościł..

Okazało się, że Józiek wszystko skrupulatnie przewidział. Manierka wrzała gorącą herbatą. Chlebak ciężki razowcem i serem. Umyli się przedtem jeszcze. Odświeżeni potrosze, siedzieli obok siebie, wyczekując przyszłości.

Poraz pierwszy mieli możność pogadać trochę ze sobą. Ale szło to jakoś niesporo. Józiek zatracił gdzieś, wśród przeżytych perypetyj — swój kanciasty, komandorski ton.

Pytała o Władka. Odpowiadał niechętnie. Śmiała się, jak on ją kiedyś nienawidził, jak nie znosił, jak nie mógł na nią patrzeć! Przecież jeszcze niedawno temu...

Gdy pociąg ruszył—rozmowa ich zapadła w głąb. Mówili o umarłych. Opowiadała o matce, o matczce, którą zabrał tyfus. Mówił jej o bracie swym, który zastrzelił się przez dziewczynę...

— To za smutne — skostatował. — Pogadamy o czemś innym.

Sypał jej swemi przygodami. Żartami z życia szkolnego. Śmiała się wesoło. Śmiał się razem z nią,

a serce biło mu rytmem niepokoju, radości i strachu przed tem tajemniczem, co stopniowo pokonywało całą jego istotę.

— Co to jest?—pytał siebie poraz setny. Kto tu siedzi obok mnie? Co to za dziewczyna?

I wtedy czuł, że jest to ktoś bliski, drogi, ktoś jedyny, przyjaciel niezawodny, którego zna od wielu, wielu lat.

Tak mijał im dzień. I tak narastała w nich miłość.

IX

Gdy pociąg stanął na którymś tam kilometrze, Józiek pojął, że to zamknięty semafor. I przeszłoby wszystko dobrze, bez śladu i znaczenia, gdyby któremś z konwoju nie wpadło do głowy przedfilować wzdłuż pociągu.

Zaskoczył ich:

— A wy co tu robicie!? He? dzieciaczki kochane, skądżeście się tu wzięły!? A powiedzcie, kociaki, powiedzcie!

Przemawiał do nich ze stopni, a pociąg już znów był w ruchu i nie miał możności skomunikowania się z towarzyszami. Zresztą sam chętnie prowadził to ciekawe dochodzenie.

Józiek z początku stawał się bardzo. Jest odkomenderowany. Tak. Liczył na analfabetyzm towarzysza. Tak. Oto dokumenty: pokazywał szkolną matrykulę z fotografią. Tak — oto dokumenty. Ma prawo korzystać z wojskowych pociągów. On i siostra. A jakże.

Towarzysz rzeczywiście był nieobznajomiony z kunsztem pisania. I owszem, nie miał nic przeciw dokumentom. Być może, być może! Ale już dla pewności posiedzi z nimi. A tam, na stacji — to są już tacy specjaliści. Wylegitymują się i pójdą sobie spokojniutko do domu. Drobnostka!

Towarzysz usiadł obok nich na stopniach. Rozgadał się: był to dobry chłop — służbista.

— Nie weźmie! — ocenił Józiek. — Tacy to najgorsi! Papierosa? Nie! On niepalący. „A daleko oni jadają?“ „Skąd i poco?“

Serce biło ciężko, biło ponuro i rozpaczliwie. Wiedział, co nastąpi. Na stacji przyjdą czekać. Rewizja. Zaszyte pod koszulą 250 dolarów. Brak dokumentów — a w dodatku schwytni wewnątrz wojskowego transportu. I jeszcze Zosia...

Chciał wyć, kiedy uczuł na szyi jej rękę. — Józiek, nie martw się! — szepnęła mu, dla niego tyl-

ko zrozumiałe słowa. Zacisnął ręce w kieszeniach. Zagryzł wargi. No, jeszcze zobaczymy!

Gdy przybyli do K., ściągnięto ich z pociągu. Towarzysz zaraportował o wszystkim drugiemu towarzyszowi.

Dołączono ich do grupy 12—14 osób. Maszerowali dwójkami, pod konwojem dwóch rosłych, wysokich osobników w cywilu. Wiedział, dokąd ich zaprowadzą: do gmachu stacyjnego „czeka“. Na znajomości terenu i gęstych ciemnościach, panujących dookoła, budował wszystkie swoje plany.

Wejście do „czeka“ znajdowało się za rogiem stacyjnego budynku.

Nie dochodząc do rogu, Józiek nagle się zatrzymał.

— Co się stało? — rzucił towarzysz z konwoju.

— Drobnostka: — wyjaśnił — pękło sznurowadło. Potrzymaj, Zosiu. — Dał jej do trzymania chlebak i manierkę. Ukłakł. Trwało to razem ułamek sekundy. Gdy grupa zniknęła za rogiem, szarpnął gwałtownie w lewo. Trzy skoki, i znaleźli się wewnątrz ogromnej szopy - poczekalni 3-ej klasy.

Były to właściwie trzy ściany sklecone, pokryte dachem. Czwarte skrzydło budynku nie było niczem osłonięte. Chronili się tu liczni podróżni w oczekiwaniu pociągów, włóczęgi, cygani i przestępcy. Tak było i obecnie. Śród ciemności wyczuli obecność mnóstwa osób skulonych, leżących, siedzących razem, strzegących swe nędzne manatki. Zmieszali się z tłumem. Z zewnątrz słychać było krzyki: — Ej, ty, panicz! gdzieś się podział? — Na czworakach czółgali się wśród leżących ciał. — Tu! — zdecydował gdzieś w kąciuku, pod ścianą. Zwinęli się w kłębek. Drżeli z zimna, przestachu i zmęczenia. Przed szopą kotłował się alarm poszukiwań. Migwały lampki elektryczne, ścigano zbiegów.

Towarzysze z „czeka“ byli rozwścieczeni: postanowiono rewidować wszystkich, znajdujących się w szopie. Każdego oślepiano światłem latarni. Papiery, dokumenty, Towarzysze przedzierali się przez gąszcz splecionych ciał. Nikogo nie opuścili. Od człowieka szli do człowieka; od jednego do drugiego.

Przez całą noc trwała ta dzika, straszliwa ucieczka. Na czworakach, pełzając nieomal na brzuchu, Józiek i Zosia uciekali przed światłem wciąż zbliżającej się, wciąż nadchodzącej, wciąż natrętnej latarni. Wili się zygzakami wśród leżących postaci. Szukali pasm ciemności. Uchodzili, uchodzili.

— Już nie mam sił! — łkała Zosia — mam starcie kolana, ręce boją. — Ale światło nadchodziło. Trzeba było znów pełzać, kłęzcę, uciekać. Rewizja trwała przez całą noc. Ale zbiegów nie schwytano.

— Pal ich sześć! — oświadczyli towarzysze o trzeciej nad ranem. — Widać gdzieindziej uciekli.

Świt zastał ich przytulonych do siebie, ledwo żywych z męki znużenia.

X

Ostatni etap. Jechali teraz po ludzku: wagonem trzeciej klasy. Komunikacja była tu względnie regularna i stosunki o wiele możliwsze.

Siedzieli naprzeciw siebie: ona i on. Ale byli to już inni ludzie; inni, niż przed podróżą.

Ona, panienka z Odesy w fartuszkach i mundurku, zgubiła się gdzieś śród minionych dni. Pociągiem jechała teraz inna Zosia. Człowiek o głębokich oczach, o wymizerowanej twarzyczce. Nigdy nie wiedziała, że tak wygląda życie.

On pytał siebie: — Czemu brat mój się zabił? Czemu się zabił przez dziewczynę? Czemu drżą moje wargi, gdy mówię do ciebie, Zosiu?.. Dlaczego mi się wydaje, że śnieg jest bielszy, niż tydzień, niż tygodnie temu?..

— Czy ty często tak podróżujesz? — pytała niepokojnie.

Kiwnął głową.

— O, jabym nie mogła, nie potrafiłabym!.. Zresztą, kto wie... Być może, razem z tobą...

Mówili mało. Już pod wieczór powiedziała: — Co to było? chyba sen? — Wtedy on odrzekł: — O nie!.. to były najlepsze dni mego życia! Najpiękniejszy!

Milczała; ale wiedział, że i ona chce powtórzyć to samo.

Ze stacji do miasta trzeba było przejść ze 4-rych kilometrów szosą... Tak już budowano rosyjskie dworce. Gdy nadjechali, dochodziła pierwsza. Wraz z nimi wysiadło jeszcze kilka osób. Zosia chciała iść razem ze wszystkimi i ciągnęła Józka za sobą.

On jednak miał swe odrębne zapatrywania. Wiedział, co czeka podróżnych, którzy teraz, śród nocy, wracają szosą do domu. Anarchja społeczna wychowała w te dni całe falangi ludzi, którzy żyli z bandytyzmu. I w Czerkasach uchodziło to już za prawo. Co noc przystawiano komuś rewolwer do skroni: życie lub pieniądzel — I wówczas każdy prawie wolał oddawać pieniądze.

Nie, on miał swoją drogę. Poszli w bok, ścieżyną śród śniegu. Stanęli przed długim, wysokim, kamiennym murem.

— Co to? — spytała.

— To cmentarz — objaśniał. Przejdą przez mur, potem wpoprzek całego cmentarza i znajdą się od razu w sercu miasta. Ominą te niebezpieczne miejsca na szosie. Stamtąd już tylko dwa kroki do jej mieszkania i cztery — do niego.

— Co takiego? — zapytała — cmentarz?!..

— No tak, — powtarzał swe wyjaśnienie — jedyna możliwa, bezpieczna droga. Potrafisz chyba przejść przez mur?

Ona jednak spojrzała nań przerażonym wzrokiem: — Przez cmentarz... w nocy! przechodzić przez cmentarz! — powtarzała ze strachem. — On chyba zwarjował!

Nie rozumiał o co chodzi. Chciał jeszcze objaśnić...

— Ależ nie, nie! — machała ręką, — za nic w świecie!.. W nocy, o 2-iej w nocy przechodzić przez cmentarz!.. Umarłaby przecież ze strachu!..

Usiłował przemówić jej do rozsądku. Lecz gdzie tam! Znów widział przed sobą 15-letnią pensjonarkę... Ani rusz. Argumenty rozbijały się wobec przemożnego muru uczuć, emocyj, przesądów. Rozumiał już: można się zabić przez kobietę. I, wiedząc dobrze, co go spotka za chwilę, ustąpił.

Wracali zpowrotem. Do szosy. Potem szosą. Szedł zdeterminowany, przygotowany na wszystko.

Nawet się nie zdziwił. — Nie bój się, Zosiu! — usiłował uspokoić ją, dygoczącą ze strachu. — Ci panowie nic złego nam nie zrobią. — Sam nawet wskazał miejsce za koszulą, gdzie miał zaszyte zapracowane, wyharowane pieniądze.

Obdarci, pachnący wódką, szarzy i wysocy, sprężyste sprawiali swe rzemiosło. Byli nawet grzeczni, gdy nie spotkali oporu. Tylko dla postrachu pogro-

zili zlekka brauningami. Obejrzeli pieniądze. Podziękowali, ukłonili się. Teraz pięć minut spokoju.

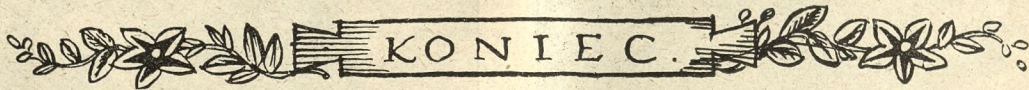
Zapadli gdzieś do rowu; słychać było ich kroki; wdrażali się w ciszę. Zniknęli.

Płakała: — To przezemnie! — krzyczała — przezemnie! Wszystko ci zabrali! No i co ty teraz zrobisz? jak się wytłumaczysz!?

Szli sami ulicą. I tak, jak wtedy, w Odesie, gdy śpieszyli na dworzec, nie mogła dotrzymać mu kroku. Obok siebie po prawej stronie słyszał jej cichutkie łkanie.

Chciał już zapukać do bramy, ale ruch jego zatamowała swoją ręką: — Poczekaj chwilę! jeszcze nie!..

Odwrócił się ku niej: myślał o tem co powie w domu i o wyrzutach ojca. I w tej chwili uczuł na sobie jakiś kochany, najdroższy ciężar. Zrozumiał, że to ona. Czuł jej ramiona na futrze swego palta i twarz jej widział tuż przed sobą. Wiedział, że wilgoć, którą czuje na policzkach, to słońce, najdroższe łzy Zosi. I szukając w ciemności jej warg, rozumiał, że oddać jej wszystko i przez nią zaznać bólu — jest radością i błogosławieństwem światła!..



Dr. M. KASTERKA

MARJA SZCZYTT-LEDNICKA

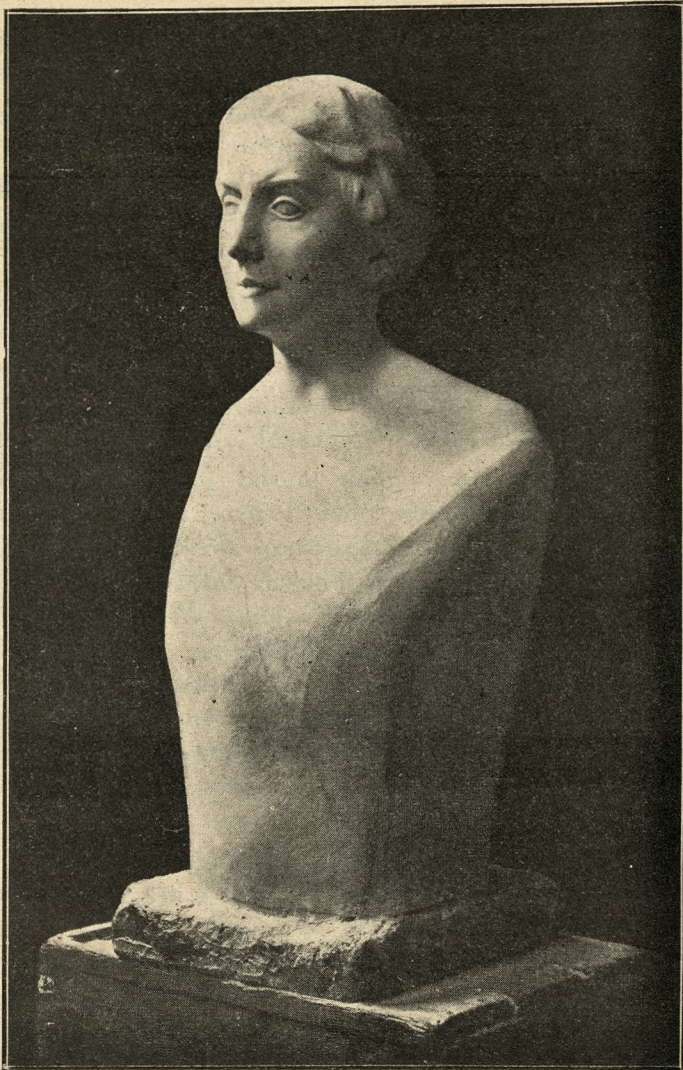
Młoda rzeźbiarka polska, szeroko dziś znana zagranicą, miała życie niezwykle barwne i ciekawe. Jako młodziutka dziewczyna, przed wojną jeszcze studjuje w Paryżu i jest uczenicą sławnego Bourdelle'a; później, przebywając podczas wojny w Rosji przy ojcu swym, znanym działaczu, Aleksandrze Lednickim, bierze czynny udział w zorganizowaniu szpitala polskiego, oraz w wielu innych pracach społecznych.

Wróciwszy wreszcie do Polski, a wkrótce potem do Paryża, Marja Szczytt-Lednicka oddaje się znowu ukochanej pracy artystycznej. Wystawia w Salonie Jesiennym, którego zostaje członkiem, a jej dzieła są oceniane w bardzo pochlebny sposób przez krytykę francuską. Krytycy paryscy podnoszą ogólnie śmiały, oryginalny sposób ujęcia i wykonania prac Marji Szczytt-Lednickiej.

W r. 1924 młoda rzeźbiarka wyjeżdża do Medjolanu, w celu zorganizowania tam własnej wystawy w Galeria di Paisero. Rzecz niezwykła: rzeźby jej

zwracają ogólną uwagę sędziów, tak trudnych i wybrednych, jakimi są Włosi. Lednicka otrzymuje mnóstwo zamówień, robi kilka ciekawych portretów, wśród których wymienić należy: portret córki słynnego generała Gallieni, obrońcy Paryża w 1914 r., — pani Gruss-Gallieni w różowym marmurze; portret barona Romano-Arezzo, byłego ambasadora włoskiego w Paryżu; portret pani Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej, znanej artystki; portret pani Nardi, damy z wielkiego świata medjolańskiego etc. etc.

Po ciężkiej i długiej chorobie, artystka, zaproszona do wzięcia udziału w Międzynarodowej tradycyjnej wystawie w Wenecji, wystawia tam w pawilonie włoskim — w braku polskiego — swojego prześlicznego św. Franciszka z Assyżu i świeżą, młodzieńczą postać dziewczyny z ptakiem, zatytułowaną „Calendimaggio“ (pierwszego maja). Ów św. Franciszek z Assyżu, nabyty przez słynnego znawcę i mecenasa sztuki markiza Paulucci Raineri dei Calboli,



Popiersie Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej, znanej artystki dramatycznej.

właściciela pięknej galerji artystycznej, to owoc długich, bolesnych godzin cierpienia, gdy artystka czuła się na przełomie życia i śmierci podczas ciężkiej choroby, a pozatem ulubionej lektury rekonwalescentki i pielgrzymek do miejsc, zamieszkiwanych niegdyś przez Świętego, a głównie do Assyżu. Klęcząca postać wyraża wielki spokój i całkowite oderwanie się od świata; piękna, wyrazista twarz nosi na sobie jakby ślad skrzydeł wieczności, które musnęły ją w przelocie i naznaczyły swym stygmatem nazawsze.

Również w tym roku Marja Szczytt-Lednicka wzięła udział, wraz ze znanym architektem włoskim p. de Finetti, w budowie pawilonu Produktów Spożywczych dla Targów Międzynarodowych w Medjolanie, upiększając ten pawilon 4 ma pięknymi karjatydami olbrzymiej wielkości. Wykonane w jasno-szarym kamieniu z Vicence, posągi te ustawione są na piedestałach z czerwonego kamienia, co daje efekt bardzo oryginalny.

Pawilon ten zakupiło miasto Medjolan, jako jedną z najpiękniejszych ozdób Targów, i odtąd pozostanie on własnością miasta.

Warszawa posiada z dzieł Lednickiej przeszliczny pomnik jej matki, przedwcześnie zmarłej ś. p. Aleksandrowej Lednickiej, z pięknym czarnym aniołem.

Na jesieni tego roku Marja Szczytt-Lednicka wraca na czas pewien do Paryża. Spotkało ją zaszczytne wyróżnienie: została wybrana do tegorocznego jury Salonu Jesiennego, gdzie również sama zamierza wystawić wielką rzeźbę w drzewie: „Czarny Anioł“.

Lednicka jest jedną z artystek, które w rzeźbie widzą nietylko piękną formę i piękny kształt, ale i ducha, t. j. myśl i wyraz. Dlatego też prace jej noszą cechę wybitnie indywidualną, która je czyni szczególnie ciekawymi, zarówno dla krytyka, jak dla profana.



Madame Nardi — dama medjolańska.

GINA LOMBROSO

DUSZA KOBIETY

7)

CZEŚĆ DRUGA

O ŹRÓDLE WZRUSZEŃ POZA NAMI. O ZALETACH, WADACH I SPRZECZNOŚCIACH, JAKIE STĄD POWSTAJĄ.

Tylko człowiek, niezmiernie wrażliwy na uczucia innych, może poruszać delikatne sprężyny przyjemności i przykrości, które wydają się tak indywidualne, a jednak pozwalają się opanować.

I.

POCIĄG DO CIERPIENIA

Troski, starania, kłopoty są dla kobiety tem samem, czem dla mężczyzny niebezpieczeństwa: trudnościami, które zwalcza, i wśród których pragnie się zaprawić.

Powiedziałam, że kobieta mniej, niż mężczyzna przejmuję się przykrością i przyjemnością, pochodzącą od mózgu lub zmysłów; zato czuje silniej, niż on, bóle i radości cudze, bardziej więc, niż on, skłonna jest pomagać doli innych; mniej zato przejmuję się własną. I to jest różnica zasadnicza. W żadnym kraju, wśród żadnej rasy i warunków nie znajdziecie kobiety, tak żadnej rozkoszy życiowych, jak mężczyzna, tak, jak on, wystrzegającej się nieprzyjemności, zmartwień, kłopotów; przeciwnie: kobieta ma pewien pociąg do cierpienia—u niego zupełnie nie do pomyslenia.

Kobieta, która się przejmuję każdą wzruszającą opowieścią, płacze rzewnymi łzami na czułym dramacie, zamartwia się czyjąś chorobą—jest zarazem bardziej, niż mężczyzna, żadna tych wzruszających historyj, czułych sztuk, i więcej nadaje się do pielęgnowania chorych i pocieszania nieszczęśliwych.

Opowiadając o przeżytych troskach, jednocześnie planuje pewne czyny, które napewno nie dadzą jej przyjemności, lecz jeszcze przysporzą trosk i zgrzyot. Jedna chce występować, choć umiera ze strachu przed publicznością; inna zdaje egzaminy, chociaż mdleje, skoro ją tylko zaczną pytać; dużo kobiet pragnie dzieci, aczkolwiek wychowanie jest dla nich męczarnią; wszystkie—zacztyją się w kronice wypadków, lubo je to martwi, przeraża i przybija, stokroć bardziej, niż mężczyznę; marzą też o sentymentalnych powieściach, nad którymi mogą wylewać łzy.

„Il n'y a d'odieux dans le monde, que de n'en être pas”—mówi Marja Baszkircew w swoim pamiętniku;—„vivre cachée et ne voir personne d'intéressant, ne pouvoir échanger une idée—voilà la mort, voilà l'enfer!”

„Je ne parlerais pas de ce qu'on est convenu d'appeler malheurs, et bien on ne devrait pas s'insurger et se plaindre; les malheurs même sont des jouissances et on doit les écouter comme les éléments indispensables de la vie“.

„Ce livre est très triste” — mówi w dzienniku swym Marja Leneru—„c'est pour cela, que je l'aime tant; j'aime ce qui est triste, parce que j'aime la douleur, et c'est justement, parce que j'en souffre, que je l'aime; car on ne souffre, que lorsqu'on aime, et on n'est quelque chose, qu'en aimant; pour cela les souvenirs tristes me sont si chers... même plus chers, que les joyeux. La souffrance est une compagne, et quand elle n'écrase pas l'âme en même temps que le corps, quand on en doit vivre et non pas mourir—elle a son magnétisme; je crois, qu'elle devient séduisante comme un vice. Il y a dans notre nature une partialité violente pour la mélancolie, pour toutes les occasions de tristesse; le bonheur tient toujours un peu du dépaysement“.

Nie idę tak daleko, jak Leneru, i nie twierdzę, że kobieta wprost żyje tęsknotą do cierpienia; fakt jednak, że ból jej nie odstręcza, że ma dla niej urok, jakiego nie ma dla mężczyzny, i że się łatwiej na niego naraża dla innych, bo człowiek cierpiący pociąga ją tak, jak zupełnie nie pociąga mężczyzny.

Aby być pocieszycielką w cierpieniu, nie może go sama unikać, musi je sama znać. Gdyby go unikała tak starannie, jak mężczyzna, zamknęłaby przed sobą swoje najczerniejsze pole, bo wrażenia bolesne są dla niej najbardziej pouczające, urozmaicone i płodne. Cierpienia przytem przykuwają do ziemi, każą zapomnieć o pustce mijających chwil, co dla niej jest tem ważniejsze, że, jako mało żadna przyjemności, nie może z tej strony doznawać podniet, tak jak mężczyzna.

To są pobudki, które tylu bogatym i inteligentnym kobietom każą wstępować do zakonu, albo do partyj rewolucyjnych, gdzie czeka je mnóstwo utrapień; to musi być powód, dla którego milionerki amerykańskie oddają się najskromniejszemu zajęciom, albo pędzą życie, jak wyrobnice, zaznając trosk i trudów, od których bogactwo i stanowisko społeczne mogłyby je ochraniać.

Nie zapominajmy wreszcie, że kobieta umie kozić zmartwienia w sposób nieporównany, umie bajecznie wychodzić z każdej sytuacji i lubi te rzeczy, bo kłopoty, troski i starania są dla niej często tem samem, czem dla mężczyzny niebezpieczeństwo: trudnościami, czem dla mężczyzny niebezpieczeństwo: trudnościami do pokonania—są to więc przyjemności wysokiego ga-

tunku, których tembardziej pragnie, że ją podnoszą w oczach innych.

Dlaczego mężczyzna z zamiłowaniem wdziera się na niedostępne szczyty, pędzi z zawrotną szybkością samochodem czy samolotem? Dlaczego jedni ludzie mają upodobanie do takich, a inni — do innych niebezpieczeństw?

Bo każdy szuka tych, w których wie, że zatriumfuje, i chętnie spełnia to, co jest jego powołaniem, aczkolwiek ciemnem i tajemniczem.

Litość, pogoda, hojność, skromność, odwaga

Z tego nieodwracania się od własnego cierpienia i małej wrażliwości na przyjemność rodzą się najwznieślsze zalety kobiece: współczucie, tkliwość, dobroczynność, miłość. Stąd dalej — pogoda wobec cierpienia, która kazała Neerze *), sparaliżowanej i stojącej prawie nad grobem, wyznać, że: „nawet teraz, kiedy wszystko skończone i dni moje gasną wśród bólu i katuszy, błogosławię cię po tysiąckroć, o życie! boś mi dało dwa wielkie skarby duchowe: zdolność myślenia i zdolność kochania“.

Z uroku, jaki na nią wywiera cierpienie, rodzi się duma, stoicyzm, który jej pozwala stawić czoło najokrutniejszym ofiarom i wytrwać wiernie przy postawionym ideale; umiarkowanie, dzięki któremu rzadko kiedy przebiera miarę; zadowolenie z najskromniejszych warunków życiowych; odwaga nieugięta wobec życiowych ciosów; współczucie, przez które nie waha się wziąć na siebie połowy cierpienia cudzych; bohaterstwo, z jakim idzie na niebezpieczeństwo; przywiązanie, w imię którego wyrzeka się uciech i rozrywek; tkliwość, która ją przywiązuje do nieszczęśliwych i prześladowanych przez los.

Stąd ta dziwna, a częsta sprzeczność, że kobieta szuka trosk, na które utyskuje, i nie chciałaby, aby je odjęto; fakt, który znajdziecie w każdym wieku i środowisku. Dziewczynki, nieszczęśliwe, gdy nie poszły do szkoły, ciągle wyrzekają na szkołę; służące, rozgniewane, gdy im ktoś pomaga, jęczą na przeciążenie pracą; matki, uradowane snobizmem synów, ciągle im go wyrzucają; babki, szczęśliwe, że się jeszcze na coś przydają, wyrzekają na córki i synowe, iż na nie zwalają wszystko, a same nic nie robią — wszystkie wogóle kobiety, które skarżą się na domowników, a ubóstwiają ich.

Nieporozumienia

Pociąg do cierpienia wywołuje często nieporozumienia między kobietą a mężczyzną, tym mężczyzną, który skręca w inną ulicę, aby nie przejść koło szpitala, czy więzienia, który nie znosi rozmowy o śmierciach, wypadkach, chorobach. Ma węch, który

go ostrzeża o cierpieniu na miłą, i, aby go uniknąć, wchodzi, w Bóg wie jakie kombinacje; gniewa go, gdy kobieta bez istotnej przyczyny idzie pierwsza na spotkanie zła, stara się ją odwieść wszelkimi siłami i czuje się urażony, gdy, pomimo to, postawiła na swoim.

Rozumie, że kobiety utyskują na swoje troski, ale nie rozumie, dlaczego buntują się i płaczą, kiedy je ktoś od nich uwolni: albo nie były to szczerze zmartwienia, albo powinny się cieszyć, że minęły. Ale zapomocą logiki nie dojdiesz do ładu z kobietami. Zgryzoty były istotne, lecz zarazem były przyjemne, jak dla mężczyzny niebezpieczeństwa, tak, że martwiłby się, gdyby mu nie pozwolono się narażać. Zamiast jej odjąć przykrości, kobieta chciałaby, aby ją za nie chwalono, pieszczono, podziwiano.

* * *

Z drugiej strony, kobieta, tak łatwo dostrajając się do cierpienia, nie rozumie zachowania się wobec niego mężczyzny, oskarża go o obojętność, samolubstwo, brak serca; gniewa ją, że nie chce słyszeć o nieszczęściach, nawet gdy nędza puka do drzwi; że tak złe koło niej chodzi w chorobie, że tyle zastanawia się i wyrabia, zanim zdobędzie się na jakiś krok stanowczy. Nierada jest też, gdy, słysząc jej narzekania, w najlepszej myśli stara się ją od przykrości uwolnić.

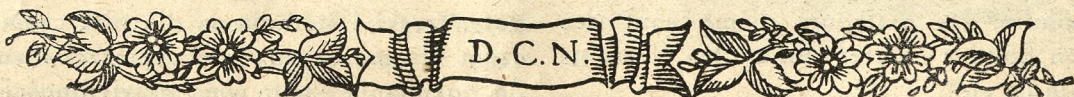
Tego rodzaju nieporozumienia zdarzają się i między kobietami: matką a córką, świekrą a synową, ponieważ jedna przed drugą ukrywa fakty, któreby ją drażniły bez przyczyny, albo chce ją uchronić, żeby się nie narażała niepotrzebnie na nieprzyjemności.

Mimo wszystko, zbytnie wzruszenia wyczerpują i łamią kobietę. Dlatego ważny jest dla niej związek z mężczyzną. Samolubnie, bezwiednie, z obawy, aby na nim nic się nie odbiło — syn, ojciec, brat, mąż ogranicza pole wzruszeń kobiecie, za którą ponosi odpowiedzialność, co ją nieraz drażni, ale w gruncie jest dla niej zbawienne.

Ale mężczyzna, choć nie rozumie i zwalcza ten rys w kobiecie, skądinąd ulega jego urokowi, zachwyca się jej pogodą wobec cierpienia, poświęceniem, zdolnością pokonywania przeszkód, zainteresowaniem, jakie okazuje dla wszystkiego, i odkryciami, jakich dzięki jej dokonywa w świecie, dla siebie niedostępnym.

Zresztą rysy, tu zaznaczone, nietylko są cenne we współżyciu z mężczyzną: są to zasadnicze składniki doli kobiecej. Warto o tem pamiętać, ponieważ w życiu, zupełnie wolnem od trosk, o jakim marzą feministki, kobieta czułaby się bardziej nieszczęśliwa, niż w pełnej zgryzot egzystencji, jaką pędzi obecnie.

*) Neera — pseudonim niedawno zmarłej, wybitnej powieściopisarki włoskiej (przyj. tłum.).



Kobieta w świecie i w domu

OBCHÓD TYGODNIA DZIECKA

Niniejszą Deklaracją, nazwaną „Deklaracją Genewską”, mężczyźni i kobiety wszystkich narodowości uznają, że ludzkość winna dać dziecku wszystko, co posiada najlepszego, i stwierdzają, że ciąży na nich, bez względu na rasę, narodowość i wyznanie, następujące obowiązki:

- I. DZIECKU powinno się dać możność moralnego rozwoju fizycznego i duchowego.
- II. DZIECKO głodne winno być nakarmione, dziecko chore — pielęgnowane; dziecko wykołajone — zwrócone na właściwą drogę; sierota i dziecko opuszczone — wzięte w opiekę i wspomagane.
- III. DZIECKO powinno przed innymi otrzymywać pomoc w czasie klęski.
- IV. DZIECKO powinno być przygotowane do zarobkowania na życie i zabezpieczone przed wszelkim wyzyskiem.
- V. DZIECKO winno być wychowane w wierze, że jego najlepsze cechy powinny być oddane na usługi współbraci.

Taka jest treść uchwały z 23 lutego 1923 r., którą powzięli członkowie wszystkich cywilizowanych narodów.

Polska nie stoi w pracy nad dobrem dziecka na ostatnim miejscu: prawodawstwo i opieka społeczna dążą planowo do zrealizowania wszystkich postulatów Deklaracji Genewskiej, a zorganizowany poraz pierwszy „Tydzień Dziecka” miał na celu poruszenie serc całego społeczeństwa, wciągnięcie wszystkich do akcji dla dobra dzieci.

W ubiegłą niedzielę rozpoczęło się święto dzieci naszych niezwykle pięknie i uroczystie. Po mszy w kościele katedralnym, celebrowanej przez ks. biskupa Roppa, odbyła się w południe w Filharmonji Akademji. Prześlicznie ubrana barwami sztandarów i zielenią, sala, wypełniona po brzegi, sprawiała istotnie wrażenie uroczystości radosnej. Obecni byli: Pani prezydentowa Mościcka, Marszałkowa Piłsudska, honorowa przewodnicząca Komitetu „Tygodniai”, wice-przewodnicząca p. Bartłowa, minister P. i O. S., p. Jurkiewicz, marszałek Sejmu Daszyński, przedstawiciele władz samorządowych oraz szereg działaczek i działaczy społecznych.

Otworzył posiedzenie przewodniczący Komitetu, Al. Lednicki, witając przybyłych, poczem wygłosił dłuższe przemówienie, zakończone okrzykiem na cześć Rzeczypospolitej i jej przyszłości — dzieci polskich.

Następnie zabrał głos p. minister Jurkiewicz, podnosząc doniosłość opieki nad matką i dzieckiem, będącej jednym z ważnych zadań państwowych, które państwo polskie podjęło w całej ciągłości.

Akademję zakończyła część koncertowa, w której, prócz artystów, wziął również udział chór dzieci ze szkół powszechnych.

O g. 5 pp. odbyło się w Agrykoli otwarcie wystawy „Polska — dzieciom”. Wśród wielu działów wystawy wyróżniały się ciekawe roboty, wykonane własnoręcznie przez dzieci, oraz dział książek, traktujących o problemie dziecka.

Potem przez cały dzień w szkołach, w schroniskach i parkach odbywały się zabawy, kina wyświetlały obrazy z dziedziny przyrody i życia dziecięcego, a wszędzie malcy hojnie obdarowani zostali słodyczami i owocami.

W poniedziałek całe miasto ubrane było flagami. Ruch olbrzymi. W każdym tramwaju moc główek roześmianych, na ulicach długie sznury dzieci, — wszystko dążyło do różnych miejsc rozrywki w tygodniu święta. W południe pani Prezydentowa Mościcka przy-

jęła na Zamku delegację 100 dzieci ze szkół powszechnych i średnich, które wręczyły Jej adres pamiątkowy i wiązanki kwiatów.

I tak przez wszystkie dni „Tygodnia”, poświęcone kolejno sprawom wychowania fizycznego, umysłowego, pracy dzieci itp., wypełniony został program pokazania dorosłym dotychczasowego rozwoju pracy nad dziećmi i wzbudzenia w małych obywatelach poczucia silnej i radosnej łączności ze społeczeństwem.

Za przykładem stolicy, w całym kraju odbywały się podobne obchody, w których brały udział wszystkie warstwy ludności, i które stały się prawdziwym świętem w każdej miejscowości. N. J.

PORADNIA DLA SAMOUKÓW

Od trzech lat działa w Warszawie Poradnia dla samouków, prowadzona przez Zarząd Główny Polskiej Macierzy Szkolnej (Krakowskie-Przedmieście 7, II piętro). Liczne podziękowania, które nadchodzą do Poradni od korzystających z jej usług samouków, oraz tysiące próśb o porady w zakresie samokształcenia, — świadczą dobitnie o potrzebie takiej instytucji. Poradnia posiada następujące działy: 1) Dział ogólny, udzielający porad zgłaszającym się listownie w zakresie kształcenia się w rozmaitych dziedzinach wiedzy. 2) Dział nauczycielski, udzielający porad w zakresie zdobywania kwalifikacji nauczycielskich, egzaminów i kształcenia zawodowego. 3) Dział ogrodniczo-szkolny, udzielający porad w dziedzinie zakładania i prowadzenia ogrodów szkolnych.

Poradnia dla samouków udziela porad bezpłatnie, drogą korespondencji. Na odpowiedź należy dołączać znaczek pocztowy i kopertę z dokładnie wypisanym adresem.

TRZY KOBIETY OTRZYMAŁY NAGRODĘ OSZCZĘDNOŚCI

Związek Polskich Kas Oszczędności we Lwowie ogłosił konkurs na pracę pod tyt.: „Rola i znaczenie kobiety w życiu gospodarczym, a specjalnie na polu oszczędności”.

Obecnie sąd konkursowy, po dokonanej ocenie prac, przyznał następujące nagrody: pierwszą, w kwocie 500 zł., p. Mariji Florkowej z Torunia; drugą, 300 zł., p. Helenie Horwath z Warszawy. Trzecią nagrodę, w sumie 200 zł., otrzymała p. B. Bruchnalska ze Lwowa. Nadto uznano, że trzy dalsze prace, pp. Ir. Laskowskiej i Dr. N. Zawadzkiej z Warszawy, oraz Wilhelminy Adam ze Lwowa, zasługują na zaszczytne wyróżnienie.

PAŃSTWOWE KURSY FOTOGRAFICZNE

Z początkiem nadchodzącego roku szkolnego otwarte zostaną w nowym gmachu szkolnym przy państwowej Szkole Przemysłowej Żeńskiej w Warszawie — dwuletnie kursy fotograficzne, przeznaczone dla dziewcząt o ukończonych sześciu klasach szkoły średniej lub maturze, które chciałyby się poświęcić fotografii w jej licznych zastosowaniach.

Specjalne szkoły fotograficzne, o bardzo wysokim poziomie i dwu, lub trzyletnich studjach, istnieją zarówno w Europie, jak i w Ameryce. Berlin liczy ich dwie; Monachjum — jedną; Darmstadt — jedną. Szkoły fotograficzne istnieją również w Wiedniu, Medjolanie i Londynie. W Paryżu „Ecole technique de photographie et de cinematographie” zajmuje czteropiętrowy gmach i została założona przez przemysłowców i zawodowych fotografów, przy poparciu Ministerstwa Oświecenia Publicznego.

Pobudką do zakładania tego rodzaju szkół jest wznastające ciągle zastosowanie sztuki fotograficznej i, co za tem idzie, zapotrzebowanie sił wykwalifikowanych, oraz konieczność oparcia wykształcenia fachowego nie na przekazywanych poufnie radach i sekretach, oraz dorywczo przeczytanych podręcznikach, a na poważnych i systematycznych studjach, zaznajamiających z całą szerszą tematyką używanych obecnie metod fotografii artystycznej i technicznej, oraz otwierających drogę do dalszego doskonalenia się.

Wobec tego, że bardzo wiele prac z dziedziny fotografii wybitnie nadaje się dla kobiet, jest pewnem, że otwierane kursy przy Szkole Przemysłowej Żeńskiej odpowiedzą swemu celowi, t. j. kształcić będą pożyteczne pracownice, dając pole do zarobkowania coraz liczniej garnącym się do fachowej pracy kobietom.

Oczywiście, otwierane obecnie kursy nie mogą pozwolić sobie na luksus urządzeń, które podziwiać możemy w szkołach zagranicznych, posiadających najczęściej wydatne poparcie sfer przemysłowych i zawodowych; niemniej jednak nic nie zostanie zaniedbane, aby uczennice wyniosły z niej maksymalną ilość potrzebnych wiadomości teoretycznych i praktycznych.

Program kursów uwzględni potrzebne wiadomości zasadnicze z fizyki, chemji, rysunku i t. d., obok wykonywania zdjęć, powiększania, retuszu i wszelkich, z fotografią artystyczną związanych, czynności, jak również fotografię, zastosowaną do potrzeb życia, a więc: roentgenografię, fotografię sądową, oraz wszelkie prace, stosowane przy opracowywaniu zdjęć filmowych.

Sekretariat Szkoły Przemysłowej Żeńskiej: Warszawa, ul. Wilcza Nr. 16.

UCZCZENIE PAMIĘCI DEOTYMY

Grono młodzieży akademickiej, zrzeszonej w stowarzyszeniu „Polska Młoda”, podjęło myśl uczczenia pamięci Deotymy, z racji przypadającego w r. b. 20-lecia jej skonu.

15-go października, w dniu imienin zmarłej, odbędzie się rano msza św. za duszę poetki, poczem wieczorem w sali Rady Miejskiej — uroczysta akademja literacka z częścią koncertową. Szereg wybitnych przedstawicieli społeczeństwa, biorących udział w Komitecie honorowym obchodu, powziął projekt umieszczenia w jednym z kościołów marmurowego popiersia autorki „Sobieskiego pod Wiedniem”. Popiersie to, wartościowe dzieło sztuki, znajduje się obecnie w zbiorach prywatnych; jest jednakże nadzieja uzyskania go od obecnego właściciela.

Byłoby pożądanem pomówić o taniem, popularnem wydaniu wielkiej epopei Deotymy „Sobieski pod Wiedniem”, która aczkolwiek mało ma współczesnych walorów poetyckich, posiada jednak duże wartości klasyczne i historyczne.

N. J.

ODCZYT PRZYJACIÓŁKI POLSKI, P. RÓŻY BAILLY

— Minęły dnie romantyzmu — twierdzą realiści.

Otóż nie, nie minęły!

Czemże bowiem innym, jak nie najszczytniejszym romantyzmem wytłumaczyć można fakt, że młoda kobieta poświęca się całkowicie idei i sprawie narodu, który pokochała siostrzaną miłością? Zjednywa dla tego narodu opinję swego kraju, wciąga do swej akcji najwybitniejszych przedstawicieli, tworzy w chwili, gdy Polska walczy jeszcze krwawo o swoje prawa bytu w Europie, wielkie stowarzyszenie przyjaciół Polski i rozwija działalność swą tak, że środowiska jej są dziś w całej Francji!

Jedna „słaba” kobieta, „Różyczka”!

Cóż to innego, jak nie najpiękniejszy romantyzm humanitarny i narodowy, oparty na przedwiekowych tradycjach braterstwa dwóch ludów, zawsze idących w przedniej straży w walce o wolność i ideały człowieka?

Dzisiaj ogląda pani Róża Bailly owoce swego dzieła, przeprowadzonego z cudownym talizmanem siły woli i zapału.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Warszawie odczyt „Różyczki”. Z chwilą ukazania się jej na estradzie sali Tow. Higienicznego, wypełnionej po brzegi, wybucha prawdziwa burza gorącego, żywiołowego entuzjazmu. Po krótkim przemówieniu powitalnem Wacława Sieroszewskiego, który wprowadził drogiego gościa, zabrała głos p. Bailly. Mówiła o stosunkach obu narodów: Francji i Polski. Mówiła głęboko i subtelnie, wnikać w ich charakter i kulturę. Słowa jej, pełne prostoty, miały wdzięk

prawdziwego uczucia i prawdziwych przeżyć. Olbrzymia praca, której dokonała „Różyczka”, oświetlona jest przez nią jakby odniechcenia. Ot, wędrowała po Francji ze swą propagandą i jakos — jakby się samo zrobiło!

Tyle w tych opisach humoru i lekkości! Tylko my wiemy jakiego dzieła dokonała nasza przyjaciółka, budząc i szercząc wśród swoich najtrudniejsze wówczas w Europie uczucie: — wiarę w Polskę.

„Przyjaźń nasza jest dumą Europy!” — zakończyła swój odczyt p. Bailly, — „jest motorem działalności Ligi Narodów i rękojmią pokoju świata.

Ta, która tak silnie, żywo i twórczo wzmocniła łączące nas węzły, droga Polsce „Różyczka”, jest również dumą i Kochaniem naszym!

N. J.

WRZENIE WŚRÓD MEDYCZEK LONDYŃSKICH

W wieku, kiedy kobiety zdobyły sobie wreszcie stanowisko równe mężczyznom, gdy nawet sam Bernard Shaw stwierdza publicznie, że niewiasta nie jest jakimś tworem specjalnym, lecz tylko „żeńską odmianą tego samego gatunku ludzkiego”, — angielski u siebie, w ojczyźnie tak zmusznie wywalczonego równouprawnienia, zostają naraz srodze pokrzywdzone.

Sześć klinik szpitalnych, należących do uniwersytetu londyńskiego, zamknęło ciężkie swe podwoje przed studentkami medycyny, odbywającymi w tych przybytkach wiedzy paroletnią praktykę.

Jakież pobudki kierowały wyższą władzą pedagogiczną przy wprowadzeniu podobnej selekcji?

Sprawa ciemna i dotychczas nie wyklarowana.

Naczelnym lekarzem szpitala w Westminster, sir Stewart, z którego zdaniem liczą się powszechnie, zagadnięty w tej sprawie, miał orzec z niezmaconym spokojem, że miejsca ustępujących praktykantek w szpitalach z wielkim powodzeniem zostaną obsadzone przez studentów-medyków, albowiem kobiety, studjujące medycynę nawet z zapałem, porzucają bez skrpułów swój fach z chwilą wyjścia zamąż.

Wymówka cokolwiek naiwna, wobec znanej powszechnie liczebnej przewagi płci słabszej w państwie brytyjskiem i faktu, że zaledwie trzecia część studentek wszystkich wyższych uczelni w Anglii ma wogóle jakiegokolwiek szanse do zamążpójścia. Z pośród całego szeregu tych, czy innych powodów, które kierowały się odnośnie władze uniwersyteckie, wydając zakaz wstępu kobietom do klinik na praktykę, były i takie (kto wie, czy nie najważniejsze!), że właśnie studenci fakultetu medycznego posiadają zbyt wiele koleżanek po fachu i nie mogą nigdy ułożyć odpowiednich, a dobrych partyj footballowych, cricket'ów, hockey'ów, czy jakichś tam innych!

Senat uniwersytetu londyńskiego, który od tylu lat zajmował jednakże stanowisko wobec kształcącej się młodzieży bez różnicy płci, zechce zapewne zastanowić się nad tą kwestją, utrudniającą w najwyższym stopniu studia lekarskie kobietom w Anglii.

Córy Albjonu ani myślą zrezygnować.

Ciekawa rzecz, kto weźmie górę: footballiści, czy medycyzi?

H. S.

NAJSTARSZA W EUROPIE LEKARKA

W Fryburgu obchodziła obecnie 90-tą rocznicę urodzin dr. Matylda Theyssen, pierwsza, najstarsza w Europie lekarka. W czasie wojny francusko-pruskiej, w 1870 roku, pracowała w Czerwonym Krzyżu i została dwukrotnie ranna podczas pełnienia obowiązków lekarskich na polu walki. Dr. Theyssen cieszy się, mimo tak późnego wieku, dobrem zdrowiem i pełnią władz umysłowych. Miasto Fryburg urządziło uroczysty obchód jej urodzin i złożyło jej dar honorowy.

N. J.

WSPÓŁPRACA KOBIET W BUDOWNICTWIE MIESZKALNEM

Na polu budownictwa mieszkaniowego zdobyły sobie Niemki doniosły wpływ. Niemki-gospodynie—choć i architektek zdolnych im nie brak.

Prosto spostrzegły kobiety niemieckie, że budowa domów mieszkalnych, tak intensywnie prowadzona po wojnie, nie uwzględnia zupełnie interesów pani domu i gospodyni. Owe piękne domy, zaprojektowane w pracowniach znakomitych architektów, nie miały często sensu: pokoje sypialne mogły być źle oświetlone, ciemne—natomiast od słonecznej strony mieściły się kuchnia i spiżarnia, w której już w marcu roztapiało się masło. Albo kilkunastometrowy korytarz dzielił kuchnię od jadalni.

Związek stowarzyszeń gospodyń niemieckich od 4-rech lat zajął się specjalnie zagadnieniami budownictwa mieszkaniowego. Stworzono przy związku komisję budownictwa, której przewodniczy p. Franciszka Wieman z Osnabrück. Skupiła ona szereg dzielnych i fachowych sił kobiecych.

Dzięki temu, że związek gospodyń jest organizacją bardzo silną liczebnie, sprawa weszła na tory realne. W różnych miastach powstawały oddziały i sekcje związku gospodyń, które starały się o dopuszczenie swych przedstawicielek do miejskich komisji budowlanych.

To wtargnięcie „zwyčajnych“ kobiet-gospodyń do dziedziny architektury przyjęte było tu i owdzie z niechęcią. Ciała urzędowe raczyły odpowiadać uprzememmi wykrętami, oznaczającymi tyle, co: „Pilnujcie waszych garnków!“ — Ponieważ jednak gospodyniom właśnie chodziło o garnki, o wygody domowe i gospodarcze, przeto znalazły posłuch u wielu mniej opornych dygnitarzy miejskich — i powoli, zapraszane na posiedzenia komisji budowlanych, okazały się bardzo pożytecznymi, praktycznymi doradczyniami w sprawach budowy mieszkań.

Obecnie przeszło w 70-ciu miastach Niemiec przedstawicielki Związku Gospodyń czynnie współpracują na tem polu. Nie wtrącają się one do spraw stylu i zasad, do kwestyj konstrukcyjnych, pozostawiając je architektom; naogół jednak kobiety są zwolenniczkami raczej domów jednorodzinnych, a gdzie konieczne są wielkie gmachy mieszkalne, wola, by nie były to drapacze nieba, lecz najwyższej paropiętrowe domy. Natomiast część gospodarcza domu stanowi przedmiot szczególnej pieczołowitości przedstawicielek gospodyń.

Oto kilka zasad, ustalonych przez Związek:

Kuchnia i jadalnia powinny mieścić się obok siebie. Pożądane jest okienko zasuwane i otoczone półkami, gdyż takie podawanie półmisek z kuchni do jadalni oszczędza wiele czasu.

Pokoje sypialne powinny być w pobliżu pokoju kąpielowego i umywalni, oraz ustępu, które ze względów higienicznych muszą znajdować się w każdym, najtańszem nawet mieszkaniu. Pożądany jest także balkon lub łoża na świeżem powietrzu.

Od strony niesłonecznej należy umieszczać kuchnię i spiżarnię, które nie znoszą nadmiaru słońca; również klatkę schodową i ustępy. Tam, gdzie ulice biegną w kierunku zachodnio-wschodnim, można powiększyć dopływ słońca, budując ściany zygzakowate. Okna powinny być raczej niskie, a szerokie, niż wysokie, a wąskie, z których dopływ światła jest skąpy.

Należy dbać o dwustronne przewietrzanie mieszkań.

Podwójne okna w naszym klimacie stanowią oszczędność na opale w zimie. Gdzie nie można urządzić ogrzewania centralnego, tam powinny być piece, opalane z sieni, by nie zabrudzać mieszkania.

Drzwi powinny być z gładkiego drzewa, bez „filungów“ i listew, które są schroniskiem kurzu. Koło zamków — płytki celuloidowe lub szklane, jako najpraktyczniejsze. Klamki u drzwi i okien niklowane lub lakierowane, możliwie najprostsze. Ramy okienne i drzwi, lakierowane na jasne barwy. Gwoli taniości, wszystkie te drewniane części powinny być znormalizowane (jeden typ i wymiary).

Nic pożądańszego dla gospodyni, jak liczne szafy w ścianach.

Wodociąg powinien dochodzić na wszystkie piętra i zamieszkałe poddasza. Na węgiel musi być osobna winda.

Urządzenia kuchenne stanowią specjalne zagadnienie, któremu kobiety niemieckie poświęciły wiele studjów. Zasada jest takie ustawienie pieca kuchennego, kranu i zmywaka, stołu i przewiewnej szafki na zapasy, półek na naczynia itd., aby gospodyni przy pracy jaknajmniej musiała dreptać i wszystko miała pod ręką. Kuchnia t. zw. mieszkalna, w której właściwą niszę kuchenną oddziela się kotarą lub zasuwanymi szklanymi drzwiami — ma zastosowanie tylko w małych, jedno i dwuizbowych mieszkankach.

Pralnie w domach mniejszych powinny być w suterenie; w wielopiętrowych budynkach umieszcza się je na górze, obok suszarni. Gdzie jest dach płaski, bielizna może suszyć się i bielić także na powietrzu. W zimie suszy się ją w maszynie, gorącym powietrzem. Oczywiście, pralnia jest ogólna, zaopatrzona w nowoczesne maszyny mechaniczne lub elektryczne.

Współpracując z architektami, gospodynie osiągną maksimum wygod dla swej codziennej pracy. Jest to zdobycz nie do pogardzenia, i mądrą drogę obrały kobiety niemieckie, uczestniczące w ten sposób w ruchu budowlanym!

J. K.



POZNAŃ W OBLICZU POWSZECHNEJ WYSTAWY KRAJOWEJ

Poznań — posiadający wspaniały teren wystawowy, który w ostatnich trzech latach oblekł się w szatę istic zachodnio-europejską — szykuje się gorączkowo do wielkiej kampanji propagandowej, jaką będzie Powszechna Wystawa Krajowa r. 1929. Gorączkowość poczynañ nie wypowiada się jednak bynajmniej chaosem, jaki towarzyszy im zwykle, a jedynie wzmożonym tempem pracy organizacyjnej, która rwie wartkim pędem.

Prawdziwy okres przygotowawczy datuje od chwili zamknięcia ostatniego Targu Międzynarodowego, który otworzył swe podwoje w maju roku bieżącego, przybierając rozmiary zgoła nieoczekiwane. Ostatnie dwa tygodnie, poprzedzające przecięcie symbolicznej wstęgi, otwierające naścieżaj bramy terenu targowego, zmusiły zarząd do prowizorycznego powiększenia tegoż terenu, przez zburzenie przylegających doń budynków, co umożliwiło zaofiarowanie licznym, zgłaszającym się w ostatniej chwili, wystawcom chociażby prowizorycznych stoisk na otwartym powietrzu.

Już sam ten fakt wystarczy za miarę rok rocznego rozwoju Poznańskich Targów Międzynarodowych, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w roku bieżącym dysponowały one szeregiem nowych, olbrzymich hal, wyprowadzonych pod dach, a obliczonych już na Powszechną Wystawę Krajową. Targi Międzynarodowe r. 1927, zaliczone słusznie do bardzo udatnych, zdołały jednak zadowolić się całkowicie ramami dotychczasowych gmachów i stoisk zewnętrznych.

Po zamknięciu pulsującego wyteżoną pracą okresu przygotowawczego, a wślad za nim idącego okresu likwidacyjnego ostatnich Targów Międzynarodowych, — cały punkt ciężkości przeniósł się do gmachu, zajętego pod biura Powszechnej Wystawy Krajowej. Na terenie Targów panuje chwilowo senna cisza. Z pietyzmem zagospodarowany, strojny w szmaragdową zieleń przeslicznych strzyżonych trawników, spowity wieńcem barwnego kwiecica — zdaje się trwać w półśnie, z którego czerpie nowe siły i nową, imponującą krasę.

Kto wczuł się w olbrzymi dorobek gospodarki miejskiej lat ostatnich — patrzy z zaufaniem w najbliższą przyszłość, wierząc, że znamienne miesiące Wystawy przyniosą nam chlubę i przyczynią się do rozśławienia po świecie imienia Polski.

Powszechna Wystawa Krajowa przyniesie niezawodnie samemu miastu olbrzymie zyski i to nietylko zyski materialne, ale wiekopomne i trwałe. Rok, poprzedzający ją, będzie rokiem pracy skupionej i intensywnej, pracy inwestycyjnej, która dokona wciągu

niewielu, stosunkowo, miesięcy rzeczy wielkich, rzeczy, rozłożonych w warunkach normalnych na całe lata.

Poznań pławi się w dobrze zrozumianej kokieteryji. Brukuje jezdnie, zakłada nowe ogrody, tworzy olbrzymie stadjony sportowe, doprowadza do doskonałości i tak świetnie gospodarowane i prowadzone ogrody: botaniczny i zoologiczny; odnawia teatry, wznosi nową rzeźnię, rozszerza sieć linii tramwajowych; buduje olbrzymi gmach hotelowy, gmach miejski, który po zamknięciu Wystawy przeznaczą na mieszkania prywatne, t. zw. mieszkania kawalerskie, wnoszące odrobinę światła w dolę nieszczęsnych tułaczy, którzy przenoszą swe lary i penaty z jednego, pozostawiającego wiele do życzenia, „podnajętego pokoju“, do drugiego, różniącego się jedynie tem od swego poprzednika, że minusy bytowania w jego ścianach przeważają szalę bodajże jeszcze silniej. To, co da się wyliczyć w krótkim sprawozdaniu, jest maleńką zaledwie cząstką podjętych już i zaprojektowanych prac. Powstają, bowiem, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, z dnia na dzień nowe dzielnice wystawowe i nowe arterje ruchu, łącząc cały olbrzymi, rozległy teren, przeznaczony pod Powszechną Wystawę Krajową, w jeden sprawny organizm, tętniący z pewnością nowego życia.

Błonia Grunwaldzkie służyć będą za teren nowemu olbrzymiemu hippodromowi, zaprojektowanemu przez inż. Müllera. Skoncentrują się na nim wszystkie gałęzie sportu konnego, za wyjątkiem wyścigów, które nadal odbywać się będą w ramach placu wyścigowego Ławicy.

Tor hippodromu, o 25 m. szerokości, zaopatrzone w przeszkody stałe, otoczy plac, przeznaczony do gry w polo. Kryte trybuny, restauracja, kawiarnia, szatnia i natryski rozlokują się tutaj wygodnie, naráwni z krytymi trybunami, obliczonymi na 4.000 widzów.

Program, opracowany i uzgodniony przez Polski Związek Jeździecki, przewiduje konkursy hippiczne z programem, identycznym z zawodami warszawskimi; centralne konne zawody armji, konkursy hippiczne wielkopolskiego klubu jazdy konnej, szereg gier w polo i t. p.

Do ciekawych atrakcyj należeć będą w dalszym rzędzie konne i piesze pokazy w strojach historycznych, konne turnieje wojskowe, strzelanie do gołębi, wloty awionetek, rozgrywki hokey'u na trawie i wreszcie, tak rzadko u nas oglądane, wyścigi psów.

Drugi nowopowstający teren sportowy — to olbrzymi stadjon na Błoniach Wildeckich, zaprojektowany i wznoszony już nie przez Zarząd Powszechnej Wystawy, a przez miasto Poznań.

Dział sportowy pod egidą Państwowego Urzędu Wych. Fizycznego i Przyniesienia Wojskowego, Związku Związków, Polskiego Komitetu Olimpijskiego, A. Z. S.-u, stowarzyszeń wychowawczych, prowadzących pracę sportową, harcerstwa, „Sokoła“, tury-

styki i tatarnictwa,—przygotowuje się do szeregu zawodów, oraz imprez sportowych.

Wszystkie działy, na jakie rozbija się Wystawa, omawiać trudno, wystarczy powiedzieć jedno: będzie ona zobrazowaniem całokształtu życia przemysłowego, rolniczego, naukowego, kulturalno-artystycznego i sportowego całego kraju; da przytem wyraz olbrzymiemu dorobkowi ostatnich lat dziesięciu—pierwszemu, a tak bardzo znamienemu i doniosłemu okresowi rozwoju samodzielnego życia i gospodarki naszego kraju.

W przeciwstawieniu do Komitetu Organizacyjnego Wystawy Powszechnej i jej Zarządu, który musi liczyć się z ewentualnym deficytem, jaki, podobno, idzie w parze ze wszelkimi imprezami wystawowymi, zakrojonemi na tak olbrzymią miarę—mieszkańcy miasta przewidują, i słusznie, że okres wystawowy będzie poniekąd „okresem złotym“. Przemysł i handel zbiorą bogaty plon, zważywszy, że każda z jednostek, odwiedzających miasto i wystawę, pozostawi tu pewną, mniej lub więcej pokąźną, sumę. To też na każdym kroku widać przygotowanie do kampanji i chęć wywalczenia sobie zasłużonego powodzenia.

Najżywotniejszą bezsprzecznie jest kwestja mieszkaniowo-żywnościowa. Pomimo istniejących już licznych hoteli i pensjonatów, pomimo powstających za inicjatywą miasta nowych gmachów mieszkalnych, — obawa powikłań i braków w tej dziedzinie zasnuwa troską czoła tych, którzy dźwigają na swoich barkach odpowiedzialność za dział organizacyjny.

Poważnym dorobkiem, jaki Wystawa Powszechna przyniesie dzielnicy Wielkopolskiej, będzie niezaprzeczenie i zapoznanie się jak najszerszych warstw z jej stolicą. Poznań jest, bowiem, słusznie chlubą każdego wielkopolanina. Ci, co nie stanęli twarzą w twarz z jego wszechpotężnym urokiem; ci, których nie owionęły nigdy wonie akacjowych gai, zacienionych alei lipowych, których oczom nie narzucił się cud obciążonych królewskim kwieciem magnoljowych krzewów, bogactwo zieleni i kwiatów, spowijających całe miasto; ci, którzy nie wczuli się w spokojne, zrównoważone tętno życia, przynoszącego z dnia na dzień coraz bardziej imponujące dorobki—grzeszą skłonnością do wyjaskrawiania drobnych braków i naleciałości, pozostałych po najeźdźcy. Animoszja dzielnicowa, zacierająca się szczęśliwie coraz wyraźniej, znajduje zawsze jakiś punkt wyjścia dla swej złośliwej wnikliwości. Zahacza się o wadliwy zwrot w mowie, wyolbrzymia śmieszność lokalnych prowincjonalizmów, sądzi z pozoru, nie docierając do właściwej treści. Wystarczy jej echo jakiejś pobieżnej opowieści dla zbudowania muru, przez który trudno przedrzeć się prawdziwie życzliwemu i bezstronnemu sądowi.

Pięć długich lat, spędzonych przezemnie w Poznaniu, wystarczyło, aby koronę tego kwiatu, wyrosłego na niezdrowem podłożu, ogołocić ze wszystkich płatków. Nie tracę nadziei, że kontakt, jaki wytworzył się pomiędzy stolicą Polski — Warszawą, a sto-

licą Wielkopolski—Poznaniem, dzięki współpracy nad organizacją Wystawy,—wyjaskrawi rzetelne wartości omawianej dzielnicy, rzuci złoty most trwałej sympatji, szacunku i porozumienia pomiędzy braćmi, którzy, niestety, w latach powojennych nie zawsze, zarówno czynem, jak i słowem, dokumentowali przynależność do jednego gniazda! Reszty dokona nieporównany, estetyczny wdzięk samego miasta, tchnącego kulturą europejską. Jeżeli przytem wniesiemy w sprawę ostatecznej likwidacji uprzedzeń dzielnicowych—której godzina powinna nareszcie wybić na zegarze naszego społecznego i państwowego życia—rozumienie, że zjednoczenie nie polega na chęci uzgodnienia indywidualności, ale przeciwnie: na dopełnieniu jednych, swoistych walorów—drugimi; jeżeli doceniemy konieczność zobopólnego poszanowania indywidualności poszczególnych dzielnic, karmionych odmiennymi warunkami i chowanych na odmiennych wzorach—wielkie dzieło zostanie nareszcie dokonane trwale i nieodwołalnie.

W. D.

ESTETYKA WYSTAWY SKLEPOWEJ

Stelaże mają zastosowanie do towarów włókienniczych. Oryginalny stelaż zbiorowy podaliśmy na rys. 3 Budowa jego nadaje się do większej lub mniejszej ilości pięter, oznaczonych poziomą linią czarno lakierowanych drążków. Popod drążki, t. j. między drążkiem wierzchnim, a dolnym, przewlekamy materiał, układając go w fałdy. Sztuki materiału można ukryć poza stelażem.

Dla cennych materyj, koronek, szali i t. p. istnieją specjalne artystyczne stelaże, o kształtach fantazyjnych, na których tkanina drapuje się najkorzystniej wskutek rozczłonkowania stelażu. Taki stelaż posłużył do ułożenia formy wodotrysku z letnich woali (rys. 7). Dr. Terlecki w swojej pracy o wystawach sklepowych wspomina o stelażach rzeźbiarza niemieckiego Rudolfa Bellinga, jako wysoko wartościowych dla magazynów, dbających o artystyczne piętno swych witryn.

Charakterystycznym typem połączenia optycznego jest wystawa cukierni, na której umieszczono lalczkę, prowadzącą na długich, barwnych wstążkach grupę świnek z czekolady. Wstążki najczęściej odgrywają rolę wiązania. Łączą one towar z plakatem reklamowym, biegnąc poprzez całą przestrzeń witryny, lub łączą z eksponatami obraz, umieszczony na wystawie, jako dodatek dekoracyjny (rys. 8).

Obraz, prócz roli zdobniczej, może posiadać treść objaśniającą—a więc, np., przedstawiać osobę, dla której ukazane towary są przeznaczone. Wazon z kwiatami, czy bez, lub w połączeniu z jakimś cennym bro-

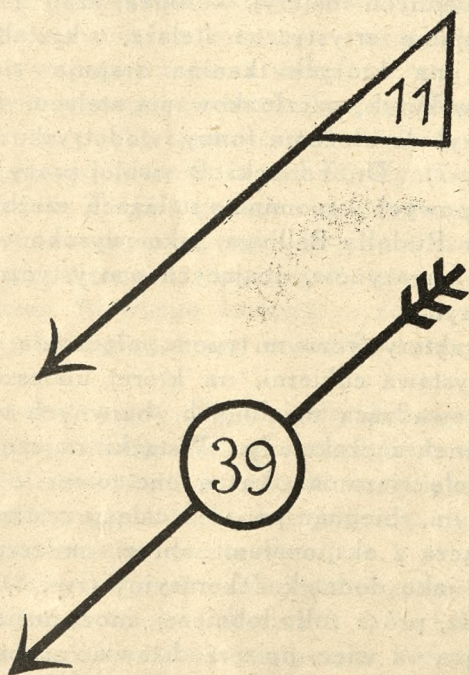
katem—to element czysto dekoracyjny, który ożywia barwą i pięknem sylwety, o ile został odpowiednio uwydatniony.

Napisy nie powinny być zbyt długie. Kilka wyrazistych słów bardziej rzuca się w oczy, niż zawile zdanie. Napisy płaskie i wypukło tłoczone, a nawet zwykle oznaczenia cen działają dekoracyjnie, jeżeli otrzymały stosowne miejsce w przestrzeni, szczególnie gdy są zamknięte w sobie przez obramowanie tak, jak to podajemy na rys. 12-ym. Forma strzały z ceną, wpisaną w koło, bardzo dobrze się przedstawia w kilkukrotnym powtórzeniu na wystawie (strzały mogą być rozmaitej wielkości) i wiąże przekonywująco cenę z towarem.

Aby ułatwić widzowi graficznie zorjentowanie w cenach, układa się eksponaty wraz z cenami w porządku wzrastającym, więc, np. ceny coraz wyższe ku górze wystawy. Nie byłoby psychologiczne użycie przeciwnego kierunku, gdyż wzrok przechodnia najczęściej, a w każdym razie naprzód spoczywa na dolnej części okna.

Skończyliśmy najogólniejsze wiadomości o układaniu wystawy. Przejdźmy z kolei do barwy—czynnika ze wszystkich najpotężniejszego w stwarzaniu nastroju. Nowoczesna dekoracja, zrozumiałwszy działanie koloru, uwzględnia je nawet tam, gdzie sam towar jest bezbarwny, i daje przedmiotom czarnym i szarym tło kolorowe. Czarno lakierowany samochód na żywym tle (np. czerwone ze złotem), zyskuje pozor wykwintu, choćby w rzeczywistości nie był modelem luksusowym.

Piękno rysunku polega na harmonji linii; piękno zestawienia barwnego — na harmonji kolorów. Harmonję osiągnąć można albo przez łagodne stopniowanie jednej barwy, od jej najbledszych do naj-



Rys. 12. Dekoracyjne wskaźniki cen.

silniejszych odcieni, czy też nieznaczne przejście jednej barwy w drugą, pokrewną — albo przez zestawienie kontrastów o równym nasileniu. Harmonje przeciwnych barw działają bezpośrednio i silnie; harmonje stopniowane na dłużej przykuwają wzrok.

Jakże miłe wrażenie wycieczki odnosiło się, patrząc na wystawę jednej z wielkich kwiaciarni wiedeńskich, wypełnioną kwitnącymi azaljami: od zupełnie białych na pierwszym planie, poprzez tony bladoróżowe, różowe, czerwone, aż do ciemno-purpurowych w głębi. Stopniowe ustawienie roślin, coraz wyżej ku perspektywicznej głębi, podkreśla efekt cieniowania.

Barwy przeciwne, są to barwy, które przy zmieszaniu wzajemnie się znoszą, neutralizują. A więc czerwona i zielona, niebieska i pomarańczowa, fioletowa i żółta itd. Wspomniane pary barw, zmieszane, dają bezbarwny odcień szary; natomiast, umieszczone bezpośrednio obok siebie, podkreślają się, czyli dopełniają nawzajem. Więcej: napozór bezbarwna białosc, umieszczona obok barwy kontrastowej, nabiera koloru dopełniającego. Tak materiał czysto biały obok silnie czerwonego nabiera zielonkawego odcieniu. „Bezbarwne” tony białe i czarne także są kontrastowymi i wzajemnie się uwydatniają. Ich przeciwieństwo jest głębokie, gdyż o ile czern, chłonna światła, nie ma koloru, o tyle białosc składa się z całej tęczy barw, zebranych w „białym” świetle słonecznym. Zestawienie bieli z czernią jest bardzo wytworne, byłoby jednak martwe bez dodania kolorowej nuty (czerwień, złoto, silny ton żółty, niebieski itd.).

Tak zwane barwy zasadnicze są to: czerwona, niebieska i żółta. Z połączeń tych kolorów powstają wszystkie inne—od bezpośrednio pochodnych (fioletowa, zielona, pomarańczowa) aż do gamy nieuchwytnych przejść pomiędzy kolorami czystymi — do tonów przybladłych lub stępionych przez domieszkowanie białego — wreszcie do odcieni, zbrudzonych przymieszką czerni.

Czyste barwy, tak zasadnicze jak pochodne pierwszego stopnia, między sobą mogą tworzyć harmonje, jakkolwiek dość prymitywne. Zazwyczaj skłaniamy się raczej ku stonowanym kolorom, których harmonję na wystawach ożywia w niewielkiej ilości użyta barwa jaskrawa. Ładna była witryna ubrań sportowych, cała w tonie beige z domieszką czerwonego i brązowego: płaszcze skórzane i nieprzemakalne, szale, pull-over-y —wszystko dobrane do tonu (Bruksela 1927; witryna znajduje się w teatrze Royal des Galeries St. Hubert; takie umieszczenie jest doskonałe ze względów reklamy, gdyż publiczność, podczas anraktów przedstawienia, ma dużo czasu na obojrzenie towarów).

Jaskrawa całość wystawy byłaby nieznośna, zato przedmiot intensywnie kolorowy dobrze działa, jako centralny punkt kompozycji.

Dekorator musi znać nie tylko naturę barw, lecz także ich działanie psychologiczne i perspektywiczne.

Barwy gorące (żółta, pomarańczowa, czerwona) nazwę zawdzięczają swemu podniecającemu wpływowi psychicznemu. One to, a wraz z niemi barwa biała, występują perspektywicznie naprzód, działają zbliżająco, w przeciwieństwie do barw zimnych, które nie mają żadnej domieszki żółtego, ani czerwonego (przeważna ilość tonów niebieskich i niektóre niebiesko-zielone). Wywierają one wpływ łagodny, a perspektywicznie usuwają się w dal. Dlatego ciemne barwy zimne (ciemno-niebieskie, ciemno-zielone) są stosowne na tło wystawy; nadają się także kolory: czarny i ciemno-purpurowy, wogóle ciemny czerwony, jako mieszani na czerwieni z czernią i barwą niebieską. Wspaniałe głębokie tony uzyskuje się w ciemnym aksamicie, najszlachetniejszym tle dla biżuterji, porcelany, wyrobów artystycznych. — Zdarza się jednak, że jasne tło więcej odpowiada celowi. Bywa to w wypadku, gdy fasada sklepu jest ciemna lub czarna i witryna musi jasno odbijać. Silne oświetlenie rozjaśnia wystawę jeszcze bardziej.

Światło w stosunku do kolorów jest ostatecznym probierzem. Wystawę, skomponowaną harmonijnie pod względem rozmieszczenia barw i wielkości powierzchni barwnych, zgubić może wadliwe oświetlenie, albo tylko nierównomierna reakcja symfonji barwnej na światło dzienne i sztuczne. Należy więc układać wystawę, próbując kolejno obydwu.

Prawidłowe oświetlenie powinno być ciepłe i dostatecznie silne, by uzyskać wrażenie pogodnej jasności, która najlepiej uwydatnia zalety i plastykę eksponatów (nie przecharakteryzuje). Natężenie światła na ulicy i w sąsiednich wystawach odgrywa także rolę ważnego kryterjum; przytem przedmioty ciemne wymagają intensywniejszego oświetlenia, niż jasne.

Źródło światła (lampy, żarówki, reflektory) znajduje się poza polem widzenia, by nie odwracało uwagi przechodnia od eksponatów i nie gasiło ich. Najlepsze umieszczenie lamp jest poza górną zewnętrzną krawędzią wystawy, która zasłania je przed okiem widza. W ten sposób światło osiąga kierunek prawie identyczny z kierunkiem światła dziennego, a wystawa ten sam charakter, co za dnia. W razie konieczności dodatkowego oświetlenia z boku, nie może ono być tak nasilone, by rozpraszało plastykę przedmiotów. Wyjątek stanowi biżuterja, którą oświetlają silnie od góry i od dołu, co dodaje ognia kamieniom.

Reklamowe działanie oświetlonej wystawy — ewentualnie szyldu świetlnego — przedłuża się po zamknięciu sklepu, szczególnie, jeżeli nie wszystkie magazyny danej ulicy są oświetlone, jak się to u nas dzieje w większości wypadków.

Powrócimy tu do poprzedniego porównania. Wśród ruchu nocnego z jego niespokojnymi wrażeniami, wśród mrugających gdzieś wysoko reklam świetlnych, transparentowych szyldów kin i teatrzyków — estetyczne, a harmonijnie oświetlone, nieru-

chome w swym spokoju wystawy sklepowe stanowią, nakształt obrazów, miłe oparcie dla oka.

* * *

Wokół zagadnienia wystawy sklepowej powstaje obecnie zajmująca literatura fachowa. We Francji i w Niemczech poświęcono jej specjalne wydawnictwa, które rozporządzają bogatym materiałem ilustracyjnym. Z zadowoleniem należy stwierdzić, że i u nas obudziło się zainteresowanie tą kwestją. W kilku miastach zorganizowano konkursy wystaw sklepowych, z wynikiem bardzo dodatnim estetycznie, tem więcej, że wiele firm starało się o nadanie swym wystawom cech swoistych, narodowych.

Z punktu widzenia naukowego opracował kwestję Dr. Władysław Terlecki, asystent katedry historii sztuki na uniwersytecie lwowskim, w swym dziełku p. t. „Jak urządzać wystawy sklepowe” (z 47 ilustracjami, wyd. nakładem autora, Lwów 1927). Na podstawie wyczerpujących studjów Dr. Terlecki, łącznie z wykładem teorii, daje doskonałe rady praktyczne. Odsyłamy doń wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób interesują się zagadnieniem nowoczesnej wystawy, zaznaczając, że i w tym krótkim zarysie praca D-ra Terleckiego w niejednym była pomocą.

Helena Wojska.



Z POWODU WYSTAWY REGJONALNEJ W WILNIE

W starych murach pobernardyńskich, obecnej siedzibie Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego, mieściła się przez miesiąc cały Wystawa Regionalna Kresów Wschodnich. Nawet najbardziej pobieżny przegląd działów tej wystawy daje nam pojęcie o ogromie pracy kulturalnej, dokonanej w Wilnie — szczęśliwie w ciągu zaledwie siedmiu lat; gdyż mniej szczęśliwa od reszty Rzeczypospolitej, dopiero dwa lata później została oswobodzona od najazdów bolszewickich i litewskich. Oprócz dużych, bardzo dużych, z uwagi na krótki przeciąg czasu, rezultatów, osiągniętych w dobie dzisiejszej, uwagę naszą przykuwają pamiątki z przeszłości, ściśle mówiąc, z przed powstania 1863 roku. Od tego roku wielkich nadziei i wielkiej klęski do r. 1920 — Wilno i całe Kresy Wschodnie były terenem ciągłego ucisku, ciągłego prześladowania i tępienia wszystkiego, co polskie, i jedyne pamiątki tej niewoli, to trochę książek i druków rosyjskich, pozostałych w bibliotece uniwersyteckiej. Znikły prawosławne krzyże z katolickich kościołów, znikła cebulasta cerkiewka, szpecąca ul. Mickiewicza, znikła nawet wspaniała Katarzyna druga

baletowym nieomal ruchem—tak jej kazał twórca pomnika, rzeźbiarz Antokolski—stawiająca ciężką, choć estetyczną stopę na karku Kresów Wschodnich podstępem i intrygą, oderwanych od Rzeczypospolitej. Na jej miejscu ze wspianego dywanowego klombu wyrasta olbrzymi chamerops, i najmłodsze pokolenie już nie będzie nawet wiedziało, że stał tu pomnik niewoli. Znikł nakoniec z przed pałacu biskupiego, obecnej siedziby wojewody wileńskiego, Murawjew, nawet przez rosjan nazywany „wieszatkiem“. Natomiast na górze Trzykrzyskiej, na miejscu, gdzie zginęli za czasów pogańskich jeszcze pierwsi misjonarze chrześcijaństwa OO. Franciszkanie, wznoszą się znów trzy krzyże. Śnieżno białe we dnie, koloru bladej jutrzemki nocą, oświetlone łagodnym światłem, którego źródło dla oka jest niewidoczne, zdają się błogosławić temu Wilnu, któremu pierwsi naukę Chrystusa przynieśli, a które dzisiaj pod względem przywiązania do wiary katolickiej, nadzwyczajnej religijności mieszkańców i piękności kościołów,—nie ustępuje żadnemu z miast Rzeczypospolitej.

A na górze zamkowej, z której patrzą na stary gród Giedyminowy ruiny zamku Wielkich Książąt litewskich, grób Nieznanego Żołnierza, zawsze pokryty świeżym kwieciami i tłumnie odwiedzany — świadczy o nierozzerwalności więzów, łączących Kresy Wschodnie z rdzenną Polską.

Porwało mnie piękno Wilna i jego pamiątki... zapomniałam że piszę wspomnienia z Wystawy Regionalnej.

Przedewszystkiem więc dział druków z czasów pierwszego uniwersytetu wileńskiego. Niesłychane bogactwo! Nie mieści się to w murach pobernardyńskich: całe trzy duże działy — dawna biblioteka uniwersytecka, muzeum archeologiczne Tyszkiewiczowskie, muzeum im. Wróblewskich—należy oglądać w głównym gmachu uniwersytetu; tamże mieści się wystawa czasopism. W gmachu Wystawy znalazły miejsce tylko zbiory Towarzystwa Bibliofilów Polskich w Wilnie, zawierające: 1) Pierwsze trzy wieki drukarstwa wileńskiego (XVI, XVII i XVIII). 2) Czasy Uniwersytetu Wileńskiego (pierwsze wydanie Mickiewicza i Słowackiego, dzieła Śniadeckich, Kramera, — bogactwa nieprzebrane! 3) Trzydziestolecie 1831-1863 r. 4) Epoka powstaniowa. 5) Wydawnictwa najnowsze. 6) Współczesna wileńska grafika książkowa, cała natchniona przez potężny talent Ferdynanda Ruszczyca.

Dział etnograficzny urządziła kobieta: prof. doc. Cezarja Ehrenkreutzowa. Bo to jest właściwie królestwo kobiety. Stroje ludowe, jej rękami sprzedane, utkane, ufarbowane i uszyte. Przedmioty, służące do ozdoby mieszkań, gospodarstwa, obrzędów rodzinnych, pracy w polu i ogrodzie. Stroje ludowe, biedniejsze w kolorach od łowickich, bardzo pracowicie wykonane. Siwe świtki, wyszywane taśmami, koszule, haftowane w sposób, przypominający hafty rusińskie z Ma-

łopolski, lecz również mniej od nich barwne. Spódnice z wełnianych tkanin, pracowicie ręcznie układane w harmonijkę „z naborką“. Ceramika dosyć uboga, co do pomysłowości kształtów i kolorytu. Tkactwo natomiast rozwinięte wspianale, tkactwo, stanowiące główny przemysł domowy Kresów Wschodnich. Nie ma tu miejsca w krótkim sprawozdaniu mówić o niem obszerniej; zasługuje ono jednak na opis bardziej wyczerpujący.

W dziale sztuki najwięcej interesującym jest malarstwo retrospektywne. Widzimy tam obrazy Rustema i Smuglewicza, Wańkowicza i Rusieckiego, Slendzińskiego, Edwarda i Alfreda Romerów i wiele, wiele innych. Z nowych Sistrzenczewicz, Anna Romerowa i znów szeregi młodych, z Ferdynandem Ruszczycem na czele, którego ogromny obraz, z napisem „Nec mergitur“, przedstawia nawę państwa polskiego, zwycięsko płynącą po wzburzonym morzu historii. Wszystko to w ślicznej dekoracji kwiatowej, hojnie wszędzie rozrzuconej przez ogrodniczą firmę Welera. Przepiękne, olbrzymie, jaskrawo ubarwione mieczyki górują nad innymi, to ich sezon. A w jednej z sal tygrysowata, olbrzymia orchidea, rozmiarów rzadko spotykanych na najwspanialszych wystawach zagranicą.

Nakoniec — wykresy. Rozwój szkolnictwa powszechnego, średniego i zawodowego. Rozwój kultury rolnej poszczególnych zbóż i okopowych. Rozwój kredytu krótko i długoterminowego. Rozwój komunikacji kolejowej, wodnej, automobilowej, pocztowej, telegraficznej i telefonicznej. Rozbudowa kolei, dróg bitych, odbudowa dróg, mostów, budynków mieszkalnych. Zwiększenie zdrowotności i bezpieczeństwa publicznego, upadek przestępczości i t. d., i t. d., — cały ogrom pracy sfer rządzących, a głównie społeczeństwa, w tym bogatym kraju, który olbrzymimi krokami dopędza swe starsze siostrzyce: Wielkopolskę i Kongresówkę.

Pani Elżbieta.



URZĄDZENIE TRZECH POKOI — W JEDNYM

Na niejednokrotnie kierowane do Redakcji „Bluszczu” zapytania czytelniczek, nieposiadających większych środków, ani dużego mieszkania: jak urządzić pokój, mający służyć jako sypialny, jadalny i gabinet— odpowiadam ogólnie. Przyznać musimy, że trzeba specjalnej pomysłowości, aby dopiąć tego żmudnego zadania — ale jakich trudności nie pokona dobra wola i energia kobiety?!

Przedewszystkiem w takim pokoju nie powinno być łóżka: trzeba zastąpić je bardzo używaną dziś kanapą - tapczanem, obciągniętą płótnem, wygodnie otwieraną, albo opatrzoną wysuwaną szufladą, w którą chowamy pościel. Nakryta kilimem, zarzucona rozmaitemi poduszkami, stanowi we dnie ozdobę gabinetu, a w nocy udogodnienie sypialni. Stół z otwieranymi kłapami, ustawiony przed kanapą, służyć będzie, jako jadalny i bawialny, a umocowana pod oknem na zawiasach, składana kłapa, wrazie potrzeby, da nam stół zapasowy, doskonale zastępujący biurko. Na przystawianych, wedle dzisiejszej mody, do dwóch boków kanapy półkach-szafeczkach ułożymy książki, papiery, przybory do pisania i inne potrzebne nam rzeczy.

Fotel wygodny ustawimy w oknie; o ile ma nieświeże pokrycie, nakryjemy go pokrowcem z takiego samego, jak firanki przy oknie, kretonu, dobranego kolorem do malowanych klejowo ścian. Służyć on będzie do czytania, roboty, albo do pracy przy otwartym biurku. W ścianie, naprzeciwko kanapy, zrobimy głęboką, obszerną niszę tak, aby w niej swobodnie poruszać się można. Zamykana szczelnie zapomocą dobrze dopasowanych drzwi, po których zamknięciu wcale nie powinna być widoczna, umalowana na ten sam kolor, co ściany—będzie nam służyła za ubieralnię, ukrywając w swem wnętrzu potrzebne, a nie estetyczne przedmioty. Wybijemy ją całą takim samym kretonem, jak ubranie pokoju, nawprost drzwi ustawimy stolik - umywalnię, otoczony kretonową falbanką, kryjącą dyskretnie przed okiem ludzkim wszelkie niezbędne naczynia i akcesoria toaletowe. Nad umywalką powieszono lustro w białych, lakierowanych ramach, po bokach także półeczki na grzebienie i kosmetyki—pozwolą używać jej po umyciu, jako toaletkę.

Na bocznych ścianach umocujemy szafki-półki, zamykane drzwiczkami, albo zasuwane ściąganiem firankami, i ułożymy na nich osobistą i domową bieliznę. Wewnętrzna strona drzwi, obitych również kretonem, zaopatrzymy w wieszadła lub wkręcane haczyki, na których powiesimy często używane przedmioty jak: szlafroczy, jumpry, codzienne okrycia etc. tak, aby po ubraniu i sprzątnięciu, każda rzecz, umieszczona na właściwym miejscu, nie psuła harmonji

otoczenia, w którym przeznaczone nam jest spędzać wolne od zajęć pozadomowych chwile. Do kompletnego urządzięcia ubieralni musimy dodać jeszcze białe lakierowane drewniane krzeselko i takiż stołeczek. Pozatem, stosownie do wymagań i potrzeb właścicielki, dopełnimy drobiazgami ten wygodny kącik.

W jednym z rogów pokoju urządzimy szafę do ubrań w sposób następujący. Cienką deseczkę przyrżniemy tak, aby szczelnie pasowała do rogu, podbijemy listewkami i przybijemy z dwóch stron do ścian. Przód deski, zaokrąglony, otaczamy grubym drutem, po którym na kółkach ścigać się będzie firanka, stanowiąca zamknięcie szafy. Głębokość jej, zależną od długości półki, wybijemy starannie staremi prześcierałkami dla zabezpieczenia rzeczy od kurzu, a w górę półki powkręcamy haczyki do wieszania rzeczy. Brzeg półki ubierzemy festonami z kretonu, a na wierzchu ustawimy wazon z bardzo dekoracyjnym bukietem z preparowanych traw i liści. Rozmieściwszy najświetniejsze meble i przedmioty codziennej potrzeby, uświetnimy urządzenie mieszkanka obrazkami, drobiazgami, serwetkami, wyhaftowanymi własnoręcznie, a przede wszystkim kwiatami doniczkowymi i w wazonach: — im więcej żywych kwiatów, tem weselej i ładniej w mieszkaniu.

Koszyk składany z robotą ustawimy koło fotela pod oknem, a w kąciku za kanapą umieścimy stolicek, nakryty serwetką, na którym ustawimy, w braku innego oświetlenia, czysto oprawioną lampę, przybraną abażurem, świecę i zapałki. Stolik taki, koniecznie z szufladką, przystawiamy na noc do kanapy, jako nocną szafeczkę.

Utrzymaniem we wzorowym porządku i czystości takiego mieszkanka nadamy mu miły i wykwintny pozór, zadawalniający, pomimo skromnych ram, nasze estetyczne i kulturalne potrzeby i dający nam możliwość miłego wypoczynku po ciężko nieraz przepracowanym dniu. Pamiętać tylko trzeba, że im mieszkanie szczuplejsze, tem większy ład i porządek panować w niem musi — każda rzecz powinna mieć zgóry dobrze obmyślane miejsce, każdy kącik powinien być inteligentnie wyzyskany i zużytkowany. Trzeba unikać „zaśmieciania” zbytecznymi gratami, stanowiącymi, według dawnych poglądów, ozdobę mieszkania, a zapełnić je jedynie rzeczami niezbędnymi, zostawiając jaknajwięcej miejsca i swobody ruchom, przez co ułatwimy sobie sprzątanie, okurzenie i utrzymanie pokoju we wzorowym porządku.

J. S.

Przy cierpieniach serca i zwapnieniu naczyń, skłonności do udaru i ataków apoplektycznych, naturalna woda gorzka „Franciszka Józefa” zapewni łagodne wypróżnienie bez nadwyrężania się. Naukowe spostrzeżenia kliniczne przy chorobach naczyń krwionośnych dowiodły, że osobom w starszym wieku woda gorzka „Franciszka Józefa” oddaje nieocenione usługi. Żądać w apt. i drog.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

BARANINA W POTRAWCE

Kilo miękkiej, niezbyt tłustej baraniny porąbać na dziesięć mniej więcej równych kawałków, lekko posolić, odrobinę popieprzyć i zrumienić ze wszystkich stron na maśle. Przełożyć do rondelka, w którym ma być podana, dodać dużo pokrajanej w plasterki cebuli, najlepiej hiszpańskiej, pieprzu, ziela, listek; kto lubi, trochę czosnku, lub majeranku. Polać rosółem, lub wodą i dusić na wolnym ogniu, aż mięso zmięknie. Wsypać dobrą łyżkę mąki, zasmażyć razem, rozprowadzić znów rosółem, lub wodą do gęstości zwykłego sosu. Wlać pół szklanki śmietany, lub tyleż przetartych pomidorów, zagotować raz tylko razem i gorące podawać. Do tego odgotować pół kilo świeżo wyłuskanej, białej fasoli. Nie solić, nastawiając; posolić, kiedy już ugotowana. Włożyć kawałek dobrego masła, przetrząść dobrze razem i podawać do baraniny. Sosu w potrawce powinno być bardzo dużo. Podawać baraninę należy na gorących talerzach, aby tłuszcz przy jedzeniu nie krzepł prędko.

ZRAZIKI Z DYNIA

Z kilo miękkiego mięsa bez kości — z krzyżowej, z głowy połędwicy, lub ostatecznie ze skrzydła, uformować osiem równych, ładnych zrazików. Usmażyć je na maśle po lekkim osoleniu, rumieniąc dobrze z obu stron. Tymczasem ugotować w osolonej wodzie półtora kilo dyni pomarańczowej, osączyć z wody i przetrzeć przez maszynkę, lub durszlak. Zmieszać z dziesięciu do dwunastu deka dobrego masła, osolić, popieprzyć, zaprawić łyżką mąki i paru łyżkami gęstej śmietany. Poddusić jeszcze, wciąż mieszając, aby do dna nie przystało. Cwierć kilo tłustej szynki, lub przerastałego boczką, pokrajać na osiem równych płatków. Ułożyć je na ogniotrwałym półmisku, posmarowanym masłem, każdy przykryć zrazikiem. Ułożyć ładną warstwę masy z dyni, posypać grubo

tartym, ostrym serem, położyć na to kilka małych kawałeczków masła, wstawić do pieca dla zrumienienia. Jest to potrawa pochodzenia weneckiego i daje możliwość zastosowania rzadko u nas używanej dyni.

KARCZOCHY Z JAJAMI

Oczyszczyć sześć spodów z dużych karczochów i ugotować na miękko w osolonej wodzie. Ukrajać sześć cienkich plasterków gotowanej szynki. Jednocześnie ugotować sześć jaj w koszulkach, wrzucić je do zimnej wody, aby łatwo je obrać ze skorupki. Zrobić sos następujący. Do małego rondelka wlać dwie łyżki wody zimnej, wbić jedno duże lub dwa małe żółtka i włożyć dziesięć deka najlepszego, śmietankowego masła. Rondelek wstawić do drugiego, większego rondla z gotującą się wodą. Trzepaczką do majonezu ubijać sos, aż zgęstnieje. Wcisnąć sok z pół cytryny, osolić sos do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu; sos powinien być gęsty, jak majonez. Karczochy pokryć szynką, na każdym położyć po jajku, wylać na nie sos i natychmiast podawać. Jest to danie dosyć kosztowne, lecz bardzo wykwintne.

KABACZKI SMAŻONE PO ALGIERSKU

Najmniejsze, najmłodsze kabaczki pokrajać na plasterki grubości pół palca, trochę osolić. Ile mamy kabaczków, tyle bierzemy jaj i robimy na nich ciasto, jak do smażenia nożek ciełych; należy uważać, aby ciasto było dosyć gęste, i białka ubijać na bardzo sztywną pianę. W płaskim, dużym rondlu rozpalić oliwę najlepszą francuską, popróbować łyżeczką ciasta: jeśli ładnie się rumieni i dobrze rośnie, oliwa jest dosyć gorąca. Plasterki kabaczków osuszać ściereczką, maczać w cieście i smażyć. Gdy rumiane, wyjmować, kłaść na bibułę, aby zbyteczny tłuszcz osączyć. Jeżeli są udane, powinny być prawie okrągłe, jak małe pączki, z pustym miejscem wkoło jarzyny we środku. Ułożyć w górkę na półmisku, przykrytym serwetą, i bardzo gorące podawać. *Pani Elżbieta.*

„WINA OWOCOWE“

KSIAŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM
DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, War-
szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności
przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KOMPLETY

HAFTU I TKACTWA
ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“.

INFORMACJE TELEFONICZNE

do g. 10-ej RANO i od 8 do 5 PP. — TEL. 273-34

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak. - Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. - Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.